Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WIR ŚWIATA

tygodniowa rewja prasy

№ 26 — CENA 40 gr.
WARSZAWA
14 - X - 1934 R.

DZIŚ W NUMERZE:

REWOLTA W HISZPANJI

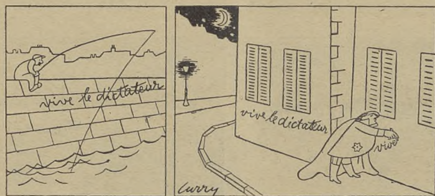
PODŁOŻE KRWAWYCH WYPADKÓW

Przez cztery miesiące rządził Hiszpanją gabinet sezonowy. Rząd Sampera utrzymywał się tylko dzięki temu, że stronnictwo agrarjuszy i partja klerykalna Gil Roblesa tolerowały jego istnienie. To zaś tolerowanie w praktyce wyglądało tak, że rząd robił wszystko, co mu prawica kazała. Wkońcu jednak te żądania stały się tak wysokie, że rząd ich spełnić nie mógł i musiał ustąpić.

Z SERJI „DYKTATOR"







Propaganda polityczna *„Le Rire", Paryż.*

SEPARATYZM KATALOŃSKI

Podczas krótkotrwałych swych rządów gabinet Sampera popełnił szereg błędów taktycznych. Przedewszystkiem zaostrzył sprawę katalońską.

Szło o to, czy nowa ustawa o dzierżawach, uchwalona przez katalońską Generalidad jest konstytucjonalnie prawomocna, czy nie. Rząd Sampera odmawiał tej ustawie mocy prawnej, przyczem powoływał się na konieczność obrony jednolitości państwa. (Pod tą zasadą jednolitego państwa kryły się jednak interesy wielkich posiadaczy ziemskich). Katalonja stanęła w obronie swoich interesów, w bardzo spokojnej zresztą formie, ale w każdym razie sprawa podrażniła ich uczucia narodowe. Za drobnomieszczańską partją „Esquerra" stali i nadal stoją robotnicy zakładów włókienniczych oraz proletarjat rolny, w którego interesie podjęto walkę.

Do zaostrzenia konfliktu przyczyniło się sześciu wrogich Katalonji sędziów, których odwołania z Barcelony Generalidad daremnie się domaga.

Podobno mniej więcej przedstawia się sprawa konfliktu baskijskiego. Rząd Sampera, nie bacząc na tradycją uświęcone prawo basków do względnej niezależności ekonomicznej w stosunku do Madrytu (t. zw. concierto economico, polegające na tem, że prowincje baskijskie same uchwalały wysokość podatków i później ryczałtową sumę odsyłali do centrali w Madrycie) wprowadził w prowincjach baskijskich przymus podatkowy. Baskom chodziło o niezawisłość, zaś czynnikom stojącym za rządem madryckim bynajmniej nie szło o te drobne sumy podatków, lecz o autorytet nawpół feudalnego państwa centralistycznego. U podstaw zaś tego konfliku leżały, tak, jak i w konflikcie katalońskim, czysto materjalne interesy. Reakcja, maskująca się rządem Sampera, chciała rządzić właśnie w tych dwóch najbardziej uprzemysłowionych prowincjach (Katalonja — przemysł włókienniczy, prowincje baskijskie — przemysł metalurgiczny) bez pośrednictwa samorządu lokalnego, na który proletarjat mógłby wywierać pewien wpływ.

O oderwaniu się od państwa hiszpańskiego myśli tylko znikoma mniejszość, gdyby jednak Madryt próbował siłą zgnieść samorząd lokalny i na miejsce jego ustanowić dyktaturę, wtedy stosunki zmieniłyby się zupełnie. A takie właśnie zamiary żywi, nie kryjąc się tem wcale, stronnictwo Gil Roblesa.

Konflikty kataloński i baskijski są wykorzystywane przez prawicę w demagogiczny sposób. Wywołuje się alarmujące nastroje, głosząc, że jedność państwa jest zagrożona i pod tym płaszczykiem dąży się do swoich celów. Nie gardzi się przytem i prowokacją.

PODOBIEŃSTWO DO NIEMIEC

Pod tym względem wypadki w Hiszpanji żywo przypominają wypadki niemieckie, które towarzyszyły objęciu władzy przez hitlerowców. Tu, jak i tam, zaalarmowano opinję rzekomemi zamiarami rewolucyjnemi lewicy, tu, jak i tam, przeprowadzono rewizję w centrali socjalistów, tu w Domu Ludowym „Casa del Pueblo", tam w Domu Liebknechta, tu i tam wykryto wielkie zapasy broni, przynajmniej wyolbrzymiono wyniki rewizyj do tego stopnia, że opinja publiczna naprawdę mogła przypuszczać, że przygotowywano zamach rewolucyjny.

W rzeczywistości zamach był przygotowany, ale w duchu podpalenia Reichstagu, to znaczy, postanowiono przyśpieszyć wypadki, wyprzedzając je. Pod pozorem niedopuszczenia do planowej rewolty, postanowiono, posługując się wypróbowanemi już gdzieindziej metodami, sparaliżować opozycję lewicową, a może i obalić republikę.

„Das Neue Tagebuch", Amsterdam.

Rewolta w Hiszpanji

Plany Gil Roblesa

Tylko rząd o silnej władzy oparty na stałej większości w Cortezach, potrafi dokonać odpowiednich reform i zapewnić państwu hiszpańskiemu stanowisko godne jego wspaniałej przeszłości.

Przedewszystkiem potrafi on energicznie przeciwstawić się buntowniczym wybrykom separatyzmu. Pod tym względem rząd Sampera popełnił szereg niewybaczalnych błędów, pozwalając na panoszenie się Generalidad katalońskiej, która dosłownie tyranizuje całą prowincję.

Dalej silny rząd oparty na istniejącej większości potrafi utrzymać porządek publiczny i raz na zawsze położyć kres agitacji wywrotowej. Wykrycie przemycanej broni, która była przeznaczona do uzbrojenia organizacyj robotniczych, jest dostatecznym dowodem powagi sytuacji i nakłada na czynniki odpowiedzialne za losy państwa obowiązek jaknajszybszego rozwiązania tych organizacyj.

Rząd większości parlamentarnej, a więc jedynie legalny, będzie również musiał naprawić błędy, jakie popełniono przez nierozważne uchwalanie reform rolnych, które właściwie polegały na bezprawnem wywłaszczaniu. Te rzekome „reformy" będą musiały być poddane starannej rewizji i dostosowane do rzeczywistych interesów kraju.

Przedewszystkiem jednak rząd większości będzie musiał unormalizować stosunki z Kościołem i z instytucjami kościelnemi, które przez wieki przyczyniły się do promieniowania kultury hiszpańskiej zagranicę i które stanowią jeden z najistotniejszych składników ducha Hiszpanji.

„El Debate", Madryt.
(Organ Gil Roblesa).

Gil Robles rządzi

Jedynie, weteran republikanizmu, Gaston Leroux, szef stronnictwa radykalnego, mógł w tej decydującej chwili stanąć na czele rządu.

Tym razem jednak powołał on jawnie prawicę do współpracy, a mianowicie „Acion Popoler", Gil Roblesa.

Cały świat wiedział, że Leroux, który ustąpił spowodu amnestji, ogłoszonej przez prezydenta republiki, będzie musiał powrócić do steru, po niepowodzeniach Sampera. Ale jakie trudności będzie on teraz musiał przezwyciężyć! Co powiedzą eksponenci Gil Roblesa na politykę radykalnych generalidad katalońskich? Jak się ustosunkują radykali do propagandy monarchistycznej uprawianej przez prawicę?

Co zrobią obie grupy w rządzie w celu zwalczenia bezrobocia? Jak przełamią akcję anarchistów, syndykalistów, tak silnie zorganizowanych?

W Madrycie strajk generalny miał przebieg rokujący raczej dobre nadzieje dla rządu. Wojsko stoi po stronie władzy legalnej, a młodzież „Acion Popoler" szczególnie, uniwersytecka, współpracuje z organami rządu w utrzymywaniu porządku i tłumieniu rozruchów.

Rozgrywka toczy się w danej chwili między skrajną prawicą a rewolucjonistami.

Radykali stoją po stronie prawicy, i Gil Robles, choć nie piastuje żadnego portfelu, będzie w gabinecie miał głos nie mniejszy niż sam Leroux.

Sytuacja obecna jest bardzo poważna. W tem położeniu jednak gabinet Leroux może liczyć na najzacieklejszą opozycję, ale i na najgorętsze poparcie tego odłamu ludności, który ma już dosyć tego rozprzężenia politycznego i zaburzeń w każdej dziedzinie życia społecznego.

„Le Petit Parisien", Paryż.

Nietolerancja — źródłem walki

Lewica hiszpańska porównywała dojście katolików do władzy ze wstąpieniem pierwszych hitlerowców do gabinetu v. Papena w Niemczech.

Socjaliści skarżą się również na to, że od ostatnich wyborów byli przedmiotem prześladowań i szykan ze strony swych katolickich przeciwników.

Czy analogja między pierwszymi katolikami w gabinecie a pierwszymi hitlerowcami w rządzie niemieckim odpowiada rzeczywistości, nie wiem, nie wierzę jednak, aby bujny i indywidualistyczny charakter hiszpana mógł się pogodzić z istnieniem państwa totalitarnego, skoro już dyktatura Primo de Rivery była dlań nie do zniesienia.

Niema narazie widoków, aby utrwalił się ten ponury faszyzm jaki przewiduje lewica. Prawdą jest, że ich prześladowano i maltretowano. Ale również prawdą jest, że natychmiast po rewolucji oni prześladowali i maltretowali katolików.

Hiszpanja jest krajem nietolerancji. Była ona nietolerancyjna za czasów inkwizycji i ta tradycja trwa po dziś dzień.

Nikt tu nie czyta tego, co piszą przeciwnicy. Zbyt wiele ludzi nie umie tu wogóle czytać.

Przeciętny socjalista myśli o katolikach, jako o tych, którzy palą ludzi na stosach. Katolik natomiast jest głęboko przekonany, że socjalizm oznacza wolną miłość, bezkarną grabież i unarodowienie kobiet.

Za rządem zaś stoi większość niezorganizowanej opinji i znaczna większość armji.

„Sunday Express", Londyn.

Rola expremjera Azany

Z gwałtownego napięcia, w którem naród hiszpański żyje od szeregu miesięcy, a raczej od szeregu lat, wybuchł płomień buntu. Pożar powstał od zawarcia koalicji prawicy republikańskiej Gastona Leroux ze stronnictwem agrarno-katolickiem, które odniosło zwycięstwo w ostatnich wyborach do Cortezów.

Jeszcze przed temi wyborami przywódca socjalistyczny Largo Caballero wyraził się: „Jeżeli 19-tego nie zwyciężymy w wyborach, wyjdziemy dwudziestego na ulice".

Ta rewolucja jednak nie wybuchła, a to dzięki rozsądnej polityce prezydenta Alcali Zamorry i taktycznym pociągnięciom Gil Roblesa, przywódcy katolików i rojalistów, który uznał, że czas jeszcze nie jest odpowiedni do przejęcia rządów przez jego stronnictwo.

Ani sędziwy Leroux, bojownik republikański jeszcze za czasów monarchji, ani Samper nie wykazali odpowiedniej siły i zdolności opanowania sytuacji, jaka po obaleniu monarchji powstała. Na czoło wybił się przywódca katolików, płomienny mówca, Gil Robles. Na przeciwnym odcinku masy straszliwie biednego i zacofanego proletarjatu coraz bardziej się zaczęły radykalizować. Taktyczne błędy Leroux doprowadziły do tego, że w tem „powstaniu mas" również lewica demokratyczna Azany przystąpiła do rokoszan.

Azana, człowiek o wybitnych zaletach duchowych i umysłowych, opanowany ideą, że mona będzie przez noc wyprowadzić Hiszpanję z mroków katedr gotyckich na sztuczne światło wolnomyślicielstwa i wolnomularstwa, rzucił bardzo niebezpieczną dla obecnego regime'u formułkę, „Republika federalna". Przez to pozyskał on sobie sympatję odśrodkowo nastrojonych prowincyj baskijskiej, katalońskiej a nawet andaluzyjskiej, które razem tworzą najbardziej postępowe i ekonomicznie najsilniejszą dzielnicę Hiszpanji, te siły Azana rozpętał przy pomocy swojego hasła przeciwko rządowi centralnemu z Kastylji.

„Neue Wiener Tageblatt", Wiedeń.

Reforma rolna

Stronnictwa prawicowe są szczególnie zainteresowane w tem, by żaden z paragrafów uchwalonej przez Cortezy reformy rolnej nie był wprowadzony w życie. Wiedzą one bowiem zbyt dobrze, że o ile tylko odda się chłopom ziemię w posiadanie, trudno będzie potem im ją odebrać.

Dlatego wszelkiemi siłami starają się nie dopuścić do faktu dokonanego w nadziei, że rząd ultra prawicowy, jakiego się wkrótce spodziewają, potrafi te poczynania odpowiednio zmienić, owszem nawet zlikwidować zupełnie.

Sabotaż reformy rolnej postępuje całą siłą. Mimo uchwały Rady Wykonawczej Reformy Rolnej, przewidującej osiedlanie bezrolnych na ziemiach, które uległy wywłaszczeniu, o jakiejś inicjatywie w tym kierunku nie słychać wcale.

„Heraldo", Madryt.

Zmiany w rządzie rumuńskim

Polityczny sezon jesienny w Rumunji rozpoczął się od zmiany w rządzie Tatarescu. Misję utworzenia nowego gabinetu powierzono powtórnie poprzedniemu premjerowi. To zjawisko świadczy wymownie o silnych wpływach Tatarescu. Dymisja i zmiany na stanowiskach niektórych ministrów nastąpiły bowiem na życzenie Tatarescu, który chciał kilku polityków, starych członków partji liberalnej, zastąpić młodszymi, zwolennikami jego kursu politycznego.

Wiadomo, że w łonie partji istnieje rozbieżność zdań między starą gwardją, której przewodniczy przywódca partji Dinu Bratianu, a młodszymi, grupującymi się wokół Tatarescu. Sczasem zatarg ten stawał się coraz bardziej ostry. Obecnie jednak nastąpiło pewne odprężenie, a przewagę uzyskał Tatarescu i jego linja polityczna. Jeszcze w początkach lata, tuż przed konferencją Małej Ententy i przed wizytą Barthou w Bukareszcie, zapowiadał się ostry kryzys. Należało się liczyć nawet z wprowadzeniem rządów dyktatorskich z chwilą ustąpienia Tatarescu. Obecnie jednak rząd liberalny i partja liberalna posiadają znaczne wpływy, nawet większe niż przed zamordowaniem jej przywódcy Duc'y.

Do wewnętrznego odprężenia przyczyniły się również wypadki, rozgrywające się w łonie tak zwanej Żelaznej Gwardji. W grudniu ubiegłego roku rozwiązano partję tej radykalnej opozycji, która mocno dawała się we znaki swą agitacją uliczną. Zakazano jej noszenia mundurów i w ciągu kilku miesięcy znikła ona z powierzchni.

Mimo wszystko ta partja dalej istnieje, a w jej łonie nastąpił rozłam. Grupa Stelescu uważa Corneliu Zelea Codreanu za zbyt mało radykalnego; zarzuca mu, że ulega zbytnio teoretykom partyjnym. Codreanu zmobilizował swych zwolenników i przeprowadził rewizje u swych przeciwników, uzurpując sobie prawa, przysługujące policji. To szczególne włamanie do mieszkań prywatnych znajdzie swe zakończenie w sądzie. Rozumie się, że ta wojna domowa nie podniosła powagi Żelaznej Gwardji. Lecz nie znikło całkowicie grożące z jej strony niebezpieczeństwo. Jej radykalizm znajduje podatny grunt w nastrojach ludności Moldawji i Besarabji, gdzie Żelazna Gwardja cieszy się powodzeniem.

Król z księciem Michałem na święcie kościelnem w Bukareszcie

Cień na wewnętrzną politykę Rumunji rzuca bezwątpienia nierozwiązane zagadnienie finansów państwowych. Podatki napływają w niedostatecznej ilości, a sanacja finansowa skarbu należy do najcięższych zadań rządu.

Unormowanie zagadnienia rosyjskiego i nadzieje na ogólne odprężenie stosunków na Bałkanach należy uważać za powodzenie w dziedzinie polityki zagranicznej. Zapowiada się również złagodzenie kwestyj spornych w Dolinie Dunaju.

Mniej pocieszającem zjawiskiem dla Rumunji jest niepewność o dalszy kierunek polskiej polityki zagranicznej. Od zakończenia wojny Polska była podporą dla rumuńskiej polityki zagranicznej na wschodzie. Mimo, że między obu krajami nie było silnie zacieśnionego węzła kulturalnego, Polska cieszyła się od czasu swego odrodzenia serdeczną sympatją w Rumunji. Oczekuje się tutaj na pierwsze konkretne objawy zmiany kursu w polityce zagranicznej rządu polskiego i z wielką nerwowością obserwuje się drogę, którą kroczy obecnie Polska. Z tego też względu ostatnie przemówienie płk. Becka w Genewie spotkało się ze złem przyjęciem w prasie bukaresztеńskiej i również z tego względu niewiele pozostało z poprzednich, serdecznych stosunków.

„Neue Freie Presse", Wiedeń.

NIEDALEKA PYZYSZŁOŚĆ?

Wspaniały rozwój techniki i wygód życiowych

Z interwiewu amerykańskiego powieściopisarza Williama Prestona Beazella z prezesem General Motors Company, p. Alfredem P. Sloan jr.

U prezesa General Motors Company p. Alfreda P. Sloan'a jr., zebrali się podczas otwarcia wystawy w Chicago, wybitni uczeni z różnych dziedzin, i każdy z nich wypowiadał się w sprawie Ameryki przyszłości, jak ją sobie wyobraża. Uwagi na ten temat wyglądają mniej więcej tak:

Żyjemy jeszcze w świecie niedoskonałym. Przebyliśmy zaledwie małą część drogi dla rozumnego ułożenia swego życia. Jesteśmy w początkowem stadjum wykonania tych zadań, które mają nam zapewnić szczęście i dobrobyt. Odkryliśmy dopiero najbardziej prymitywne tajemnice natury, a cuda, o jakich nie pozwalamy sobie nawet marzyć, czekają użycia ich dla naszego pożytku.

Prezes Sloan wywodził w ten sposób: Mówią nam, że nędza i nieszczęścia ostatnich czterech lat są wynikiem naszych dążności do coraz to nowych i lepszych wynalazków, innemi słowy, że produkowaliśmy za dużo. Mówią nam, że środkiem zaradczym mogłoby być zniesienie nadprodukcji. Jest to nieprawda! Problem nasz polega nie na nadprodukcji, lecz na fałszywym podziale. O nadprodukcji można mówić wtedy, kiedy każdy zdolny i chętny do pracy człowiek ma to, na co zasługuje odpowiednio do wartości swojej pracy. A nikt chyba nie zechce twierdzić, że ten warunek został spełniony. Jak można więc mówić o nadprodukcji?

Zasięgałem w tej sprawie zdania poważnych przedstawicieli różnych dziedzin i wszyscy wydali zgodnie swoją opinję. Wszyscy przeczą utartemu poglądowi, jakoby ludzkość osiągnęła już najwyższy stopień doskonałości. Przepowiadają zdumiewające postępy, jeśli tylko wstąpimy na właściwą drogę. Gdyby chcieć wszystkie przepowiednie te zebrać, trzebaby cały tom spisać. Oto co mówili:

NIC JESZCZE NIE WIEMY

Nie to co wiemy jest ważne, ale właśnie to, o czem nie wiemy. Rok rocznie odkrywamy rzeczy, o których istnieniu jeszcze niedawno nie mieliśmy pojęcia. Jestem przekonany, że już wkrótce posuniemy się w naszych wiadomościach tak dalece, że przez nowe wynalazki zatrudnimy miljony ludzi na długie lata. Nasza cywilizacja jest młoda. Jest sama w sobie zwyczajnym eksperymentem, a fakt, że natrafiamy na trudności i przeciwieństwa jest tego najlepszym dowodem. Musimy odkryć to, co jeszcze jest niejasne, i urządzić nasze życie racjonalne, inaczej nie wolno wierzyć w lepsze i pewniejsze jutro.

Zobaczmy, jak wyglądają u tych uczonych główne czynniki tego lepszego i pewniejszego jutra. Nasze dzieci, mówią oni, będą zamieszkiwać domy, w których temperatura i wilgoć będą regulowane dowolnie, tak że w zimnym czy ciepłym klimacie nie będą cierpiały niewygód. I dlatego praca ich będzie się odbywać w zdrowych warunkach i będzie bardziej wydajna. Będą podróżowali w jasnych, wygodnych wagonach elektrycznych kolei z szybkością stu pięćdziesięciu do trzystu kilometrów na godzinę. Auta ich będą mknęły po szosach automobilowych, omijających zdala miasta, podczas gdy dla wozów ciężarowych będą budowane specjalne gościńce. Tory te będą w nocy jasno oświetlone, by umożliwić większą szybkość bez narażenia życia. Samoloty ich będą szybować na zawrotnej wysokości, i będą mogły startować prostopadle do góry. Automaty, pełniące funkcje ludzkiego oka, uczynią podróż bezpieczną, nawet przy najgorszej pogodzie. W każdym domu będzie telegraf, włączony do radja, za pomocą niego będą ludzie otrzymywać stale najnowsze wiadomości, ilustrowane również na ekranie telewizora. Nowe syntetyczne żywice zastąpią drzewo jako opał. Będzie się budować nowe dzielnice zdala od zgiełku i dymów miasta. Elektryczność potanieje i będzie głównym motorem gospodarstwa domowego. Wszelkie prace domowe, prace rolników na polu będą wykonywać maszyny-roboty. W ten sposób podniesie się wydajność produkcji, a zysk z tego będzie taki: przy zmniejszonej ilości godzin pracy, więcej towarów dla każdego! Wiele z tych rzeczy jest już dzisiaj w stadjum przygotowawczem. W dziedzinie budowy domów, która zajmuje naczelne miejsce w programie ulepszenia warunków zdrowotnych ludności, przewiduje się już w najbliższej przyszłości kolosalne postępy. Istnieją projekty, według których można będzie wznieść olbrzymi gmach, z zainstalowanem ogrzewaniem, światłem, kompletnem urządzeniem w ciągu jednego tygodnia! Dzisiejsze linje okrętowe, i linja pociągów szybkobieżnych są zaledwie słabą zapowiedzią niedalekiej przyszłości. Wagony na gumowych kołach nie dadzą na siebie długo czekać, a i w innych środkach lokomocji koła gumowe zastąpią dotychczasowy metal i drzewo.

Dla lotnictwa przepowiada p. E. R. Breech, prezes North American Corporation, regularne transkontynentalne loty w piętnastu lub dwudziestu godzinach! Kilkumotorowe hydroplany mknące po powierzchni mórz z szybkością trzystu kilometrów na godzinę!

Podczas gdy dziś średni wiek dobiega u mężczyzny pięćdziesięciu ośmiu, u kobiet sześćdziesięciu lat, bracia Mayo, słynni chirurgowie, przepowiadają już wkrótce jako przeciętny wiek życia ludzkiego, biblijne siedemdziesiąt lat!

„Postęp socjalny jest dopiero w stadjum początkowego rozwoju", oświadczył p. Parker, prezes amerykańskiej Akademji Umiejętności. „Dwa miljony lat, dzielące nas od praczłowieka, stawiają nas dzisiaj przed początkiem nowego życia. Jak nie można powiedzieć nic pewnego o tych latach, które już minęły, tak też nie można przewidzieć postępów, które ludzkość poczyni w następnym dwumiljonowym okresie".

Jedno nie ulega wątpliwości, kończył p. Sloan swoje wywody, że jeśli nawet ludzkość przetrwa do tego czasu, nigdy nie będzie natyle doskonała, by nowe wynalazki i odkrycia nie mogły wprowadzić jej w zdumienie.

„Today", New Jork.

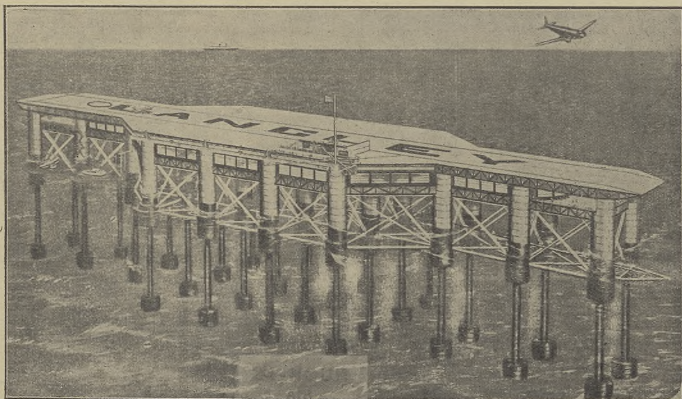
W 24 godziny z Londynu do Nowego Jorku

Łańcuch płynących aerodromów, zakotwiczonych w oceanie, na przestrzeni między Londynem i Nowym Jorkiem; szybkie samoloty lądujące na nich, nabierające paliwa i wyruszające w dalszą podróż do następnego lotniska tego samego typu; Londyn oddalony o 24 godziny jazdy od Nowego Jorku; wszystko to pod względem ekonomicznym zupełnie bezwartościowy.

Zakotwiczone co 500 mil lotniska uczyniłyby takie loty przedsięwzięciem ekonomicznie rentownem.

Urzędnik amerykańskiego Towarzystwa Doków Morskich wyjaśnił przedstawicielowi naduje się personel 40 ludzi i pełna obsługa meteorologiczna, radjowa i techniczna.

Konstrukcja takiego lotniska jest w ten sposób planowana, że jego punkt ciężkości znajduje się poniżej falującej powierzchni oceanu, tak że pozostaje ono nieruchome i spokojne, bez względu na stan falowania wód. Lotnisko



nie jest już fantastyczną mrzonką. Jeżeli mamy wierzyć twórcom tego planu. Jest to, ich zdaniem, projekt wykonalny przy pomocy środków technicznych, jakiemi dziś rozporządzamy.

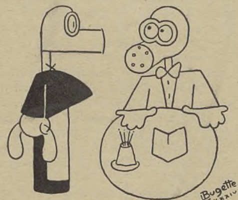
Dotychczasowa trudność lotniczej komunikacji transoceanicznej polegała na tem, że samoloty były już tak obciążone materjałem pędnym, że nie pozostawało miejsca na pasażerów, ani na towary. Lot transoceaniczny był zatem szego pisma, o co chodzi.

Oświadczył on, że po piętnastu latach prób i eksperymentów, uzgodniono cechy i właściwości takich lotnisk, zakotwiczonych w oceanie. Posiadają one pokłady, skąd samoloty mogą startować i gdzie mogą „lądować", o długości 1,500 stóp a szerokości 300 stóp, oraz hotel, który może pomieścić 500 pasażerów w dzień i 100 w nocy. Na takiem lotnisku znajwznosi się na 32 zanurzonych we wodzie, aerodynamicznych filarach, wznoszących się o 103 stopy ponad poziom oceanu.

Dolne części tych filarów stanowią balast i obciążenie całości, zanurzonej na 208 stóp w głębi oceanu.

„Sunday Express", Londyn.

OBRAZEK PRZYSZŁOŚCI



— Kelner! Czegoś do oddychania... i to bardzo świeżego!

„Le Rire", Paryż.

Sezon wróżek

Pytja nigdy nie miała lepszego sezonu, jak w czasie niepokojów w historji greckiej. Kiedy nastaje zła passa, ludzie chętniej spoglądają w przyszłość. Nasza niepewna epoka skłania młode kobiety do odwiedzania wróżek i pewne już jest, że „jasnowidzące" będą bardzo modne tej zimy. W każdym bądź razie napewno będą modne w literaturze, wiadomo bowiem, że ukażą się niebawem dwie powieści, których intryga zawiązuje się u wróżek.

Ktoś zapytał kilka dni temu pewną młodą niewiastę, opaloną na bronz pod słońcem Deauville i Biarritz, od czego zaczęła nowy sezon w Paryżu.

— Oczywista rzecz, — odpowiedziała — że poszłam przedewszystkiem do wróżki.

— Czy dała sobie pani postawić kabałę? Czego pani była ciekawa?

Piękna pani szepnęła tajemniczo: — Cicho... Powiem to panu, ale niech pan nikomu nie powtarza. Co sezon, zanim zamawiam suknie, pytam wróżki, czy będę miała podczas zimy nieprzewidzianą żałobę...

„1934", Paryż.

Szybkość lotu orła

P. Fraser Darling, poczynił obserwację, która go utwierdziła w przekonaniu, że orzeł leci z szybkością 120 mil (blisko 200 km.) na godzinę.

Orzeł wzniósł się w niebo w okolicy domu w Wester Ross, towarzyszyły mu zaś dwa wędrowne sokoły. P. Darling spojrzał na zegarek i śledził przez teleskop za ptakiem.

Odległość skali od miejsca odlotu ptaka była 3,5 mili, a czas zużyty na przelot 1 minuta i 45 sekund. W ten sposób orzeł miał szybkość 120 mil na godzinę, to znaczy dwa razy większą niż pociąg pośpieszny. Sokoły zostały daleko za orłem.

„Nature", Nowy Jork.

„REWOLUCJA" AMERYKAŃSKA

Generał Johnson zamienił NRA w symbol jednego człowieka

Dymisję generała Hugona S. Johnsona przyjęto i to stanowi jedno z zasadniczych pociągnięć w reorganizacji NRA.

Największą niespodzianką dla kół waszyngtońskich był zupełny brak teatralności, podczas zejścia generała Johnsona ze sceny. W mieście przyzwyczajonem w ciągu ostatnich szesnastu miesięcy do sensacyj i podnieceń nie spodziewano się odejścia bez dramatycznych epizodów.

Nie ulegało wątpliwości, że generał odejdzie. Od pierwszej chwili, kiedy powzięto zamiar reorganizacji NRA, okazało się, że skoro przystępuje się do przebudowy tej organizacji, to albo generał musiałby się zmienić, co było nieprawdopodobne, albo też ustąpić. NRA stała się tak dalece organizacją, opartą na jednej osobie, tak dalece indywidualną, że musiało się traktować ją i jej przewodniczącego nierozdzielnie.

Zdaniem szerokich kół w Waszyngtonie generał Johnson sam ułatwił prezydentowi zadanie. Jego działalność podczas strajku włókniarzy, kiedy wygłosił przemówienie antystrajkowe w New York City, sprawiło, że prezydentowi nic więcej nie pozostawało, jak przyjąć jego dymisję.

Aż do tego przemówienia przyjaciele żywili nadzieję, że on pozostanie i w nowej NRA.

Osoby, które, zaledwie jeden dzień przed tem przemówieniem rozważały z prezydentem w Hyde Park plany przyszłej reorganizacji, wyszły z wyraźnem wrażeniem, że generał pozostanie szefem egzekutywy proponowanego reżimu trzech (triune). Prezydent miał ponoć powiedzieć wobec tych, którzy go pytali o przyszłość generała i NRA, że czuje się w znacznej mierze zobowiązany wobec tego weterana (kawalerzysty) i że uważa go nadal za jednego z najdzielniejszych i najpewniejszych urzędników w swoim sztabie.

Lecz opinja, która była podzielona, zanim generał wygłosił owe sławne przemówienie, stała się po niem zupełnie jednomyślna.

METEORYCZNA KARJERA

Trudno inaczej określić karjerę generała Johnsona w Waszyngtonie, jak porównując ją z meteorem. Jego szybka droga wgórę rozpoczęła się w chwili, kiedy zaczął prowadzić atak odbudowy na odcinku przemysłu. Popularność jego rosła coraz bardziej w najszerszych kołach narodu, a jego świetlaną smugę przyćmiewała jedynie popularność samego prezydenta Roosevelta. Ten rozmach jego popularności zaczął osiągać swój punkt kulminacyjny mniej więcej w okresie kiedy Kongres został odroczony.

16 czerwca generał Johnson i jego towarzysze obchodzili pierwszą rocznicę powstania NRA, i przy tej sposobności prezydent Roosevelt opublikował list, w którym wychwalał generała za jego mistrzowskie prowadzenie kampanji narodowej.

Od tej chwili sytuacja zaczęła się zmieniać. Wtedy atak NRA stał się już czemś więcej, niż zawrotną krucjatą narodową. W tym okresie około 95% przemysłu amerykańskiego już znajdowało się pod administracją kodeksów, a prezydent Roosevelt nie ukrywał, że uważa ten sukces za wynik niestrudzonej działalności i energji generała Johnsona.

ZMIERZCH POPULARNOŚCI

Powstało wtedy zagadnienie, jak ustabilizować te osiągnięcia na drodze odbudowy narodowej. Hasłem NRA miało się stać: zamiast kodyfikacji, dobrowolna współpraca. Generał Johnson nie nadawał się do tej nowej roli i do zmienionych warunków i można było zauważyć zmierzch popularności zarówno jego osobistej, jak i NRA.

Związek gen. Johnsona z NRA wyprzedził znacznie prawne powstanie tej ostatniej. Pomysł ten był w znacznej mierze jego. On i jego spólnik Bernard M. Baruch opracowali zasadniczą formułę, która miała im umożliwić wykorzystanie przyszłej kampanji. Przedstawili nawet Kongresowi za czasów Hoovera plan tego rodzaju.

Krążą pogłoski, że generał odstąpił większą część tych pomysłów prezydentowi Rooseveltowi. W każdym razie współpracował on już przy pierwszej realizacji NRA na wiosnę 1933 roku. Pojawił się na widowni mniej więcej niespodzianie i założył swoją główną kwaterę w biurach M. Moleya, podsekretarza stanu do spraw zagranicznych. Wtedy to podczas konferencyj z naczelnikami wydziałów, z leaderami Kongresu, z przywódcami organizacyj przemysłowych, kiedy NRA została połączona z kampanją robót publicznych za 3.300.000.000 dolarów, wypłynął on jako autor pomysłów dla odbudowy przemysłu narodowego.

KONFLIKT Z MIN. ROBÓT PUBLICZNYCH

W chwili, kiedy Ustawa o odbudowie przemysłu narodowego była podpisywana, w czerwcu 1933 r., nie zastanawiano się nawet, kto stanie na czele tej nowej organizacji. Gen. Johnson już wtedy układał plan swoich biur i zaangażował już część personelu. Spoczątku myślał, że stanie na czele całej kampanji odbudowy, to znaczy i NRA (która wówczas się jeszcze tak nie nazywała) i robót publicznych.

Postępując według tej myśli, rychło poróżnił się z ministrem Ickes'em w sprawie kierownictwa Administracji Robót Publicznych, i prezydent Roosevelt musiał ingerować, by każdemu z nich wyznaczyć jego zakres działania.

Od pierwszej chwili generał Johnson ubiegał się o opinję publiczną i opierał się na niej. Jego pomysł opierał się na przesłance, że siła nabywcza mas musi być zwiększona zanim się jeszcze przystąpi do ożywienia produkcji przemysłowej. Aby tego dopiąć, zaproponował, by skrócono czas pracy, co pociągnęłoby za sobą zwiększenie zatrudnienia, i odpowiednio podwyższono płacę, aby dochody pracujących wzrosły.

Na korzyść przemysłu zaś zaproponował, by tak rozluźniono ustawodawstwo przeciwtrustowe, żeby można było, w związku z podniesieniem kosztów produkcji, tworzyć kombinacje, któreby uniemożliwiły nieuczciwe praktyki handlowe i samobójczą konkurencję, albowiem to do reszty zabijało życie gospodarcze.

ODRODZENIE PSYCHOLOGJI WOJENNEJ

Generał Johnson uznał, że można będzie uczynić z tych celów i metod przedmiot krucjaty ogólno-narodowej. Miał doświadczenie z czasów wojennych. Pamiętał ustawę o mobilizacji, którą sam napisał, i kampanję propagandową, przy której pomocy ściągnięto do obozów bez najmniejszego oporu 4.000.000 ludzi.

Chciał, aby akcja odbudowy, na której czele stanął, była uniwersalna dla całego kraju. Zdawał sobie sprawę z tego, że ustawa, którą Kongres właśnie uchwalił, mogła mieć zastosowanie jedynie w międzystanowych stosunkach handlowych. W tym zapale zorganizował on sławnego „Niebieskiego Orła". Było to w stu procentach dzieło jego mózgu. Wezwał przedstawiciela przemysłu i świata pracy i dosłownie zmusił ich, by wyrazili na to swoją zgodę.

Kiedy zaczęli kwestjonować zalety tej nowej organizacji, powiedział im, że będzie ich trzymał przez całą noc w wilgotnych salach ministerstwa handlu, jeżeli nie przystąpią do kampanji „Niebieskiego Orła".

NARODZINY „NIEBIESKIEGO ORŁA"

Tej nocy narodził się „Niebieski Orzeł", i zdaniem wielu najzawziętszych stronników rządu, w tej chwili narodziły się wszystkie kłopoty, które później opadły NRA i jej niefortunnego administratora.

Szybko rozesłano blankiety z urzędu Prezydenta, zawierające wzór kontraktów ponownego zatrudnienia bezrobotnych. Rozesłano ich miljony do najdalszych zakątków kraju, poczta dostarczała ich adresatom. Powołano spowrotem do służby grupę starych propagatorów pożyczek wojennych. Zalano kraj propagandą na rzecz ponownego zatrudnienia bezrobotnych. Gen. Johnson wznosił się w owych dniach, jako symbol bohaterski — upatrywano w nim nawet przyszłego następcę prezydenta Roosevelta. Wszystkich, którzyby zwolnili bieg NRA lub hamowali jej rozmach generał skazywał na śmierć gospodarczą.

WIELKIE PIERWSZE SUKCESY

Powodzenie tego pierwszego ataku było niebywałe. Każdy amerykanin zaczął myśleć kategorjami „Niebieskiego Orła". Można było pochwalić się pokaźnemi wynikami w dziedzinie zatrudnienia bezrobotnych, lecz generał Johnson nie myślał zatrzymywać się, by swe sukcesy policzyć. Zanadto był zajęty ich osiąganiem.

Ale wzlot „Niebieskiego Orła" nie mógł iść w nieskończoność. Prezydenckie kontrakty ponownego zatrudnienia bezrobotnych przewidywały, że każdy, kto taki kontrakt podpisał, będzie w przyszłości podciągnięty pod kodeks uczciwej konkurencji w ramach swojej gałęzi przemysłu.

Obowiązkiem generała i jego organizacji było zatem opracować te kodeksy dla całego przemysłu. Kontrakty prezydenckie były tylko środkiem zaradczym, obliczonym na krótki czas.

Kiedy przystąpiono do tego poważniejszego zadania, zapał wojowniczy zaczął się rozwiewać. Zarysowała się perspektywa zarobków i przemysł zawrócił w tym kierunku. Ceny zaczęły pędzić wgórę, szczególnie w dziedzinie artykułów pierwszej potrzeby. Produkcja zaczęła znowu przybierać zawrotne tempo w tych gałęziach, gdzie można gromadzić wielkie zapasy wyrobów. Zaczęło się paskarstwo, spoczątku tajnie, a potem zupełnie jawnie.

Tymczasem generał Johnson wysilał się, by przeprowadzić kodyfikację przemysłu węglowego, stalowego, i samochodowego, trzech z pięciu wielkich gałęzi przemysłu, które zatrudniają większą część robotników przemysłowych.

Przez cały czas tych pierwszych prób, zdawało się, że generał Johnson jest w każdym calu człowiekiem na wysokości zadania i chwili. Nie bał się nikogo. Słownik jego kawaleryjskich powiedzonek stał się sławny w całym kraju.

Okiełznał Forda, największego indywidualistę śród przemysłowców Ameryki i trzymał go zdala od zamówień rządowych. Dla baronów węglowych nie miał najmniejszego respektu. Zbeształ ich w lokalu publicznym w samem sercu Waszyngtonu.

Powiedział kilka przyjemnych słówek magnatom stalowym, a kiedy nadeszły kłopoty w kopalniach, wygarnął nadzwyczaj ostry paternoster przez telefon.

Ale, powiadają jego krytycy, podczas gdy generał wybuchał, spokojni i zrównoważeni przemysłowcy, którzy wiedzą, czego chcą, a przedewszystkiem czego nie chcą, robili swoje. Oni jemu pozwolili gadać, ale kiedy przyszło do czegoś, otrzymali takie warunki w kodeksach, że właściwie cały wysiłek odbudowy został zaszachowany.

Ustępstw przyznanych jednym, nie udzielono drugim. Ten brak jednolitej polityki zarówno u tych, którzy stali wewnątrz NRA jak i u postronnych, wywołał wreszcie wrażenie, że generał kpi. Tak przynajmniej twierdzą przeciwnicy generała.

TRUDNOŚCI Z USTALANIEM CEN

Próbował opanować trudną, zawikłaną, wprost nierozwiązalną sprawę ustalenia cen. Wiele gałęzi przemysłu domagało się ustalenia cen minimalnych. Generał Johnson słuchał tych pomysłów z pewną sympatją. Czy prawo nie obiecywało im, że uwolni ich od zabójczych praktyk handlowych? Czy obniżanie cen nie było pewnego rodzaju hamowaniem rozmachu jego inicjatywy?

Ale opanowanie setek kodeksów, dotyczących tysięcy indywidualnych przedsiębiorstw okazało się w tych warunkach i na tej podstawie zupełną niemożliwością. Zdał on sobie z tego sprawę, ale zapóźno. Znalazł się w takiem położeniu, że nie wiedział, jak się wycofać. Jedyną możliwością, jaka się wyłaniała, była zupełna reorganizacja i do tego też zabrał się, zaraz po rozejściu się Kongresu.

Generał Johnson starał się wszelkiemi siłami ożywić swego „Niebieskiego Orła" i pobudzić go do działania. Naznaczał jedną komisję po drugiej, zapominając czasami, tak powiadają, że je zamianował. Popełnił nieostrożność nie mianując nikogo z przedstawicieli rządu na stanowiska kontrolujące kodeksy. Szczegóły wymykały mu się z rąk. Wydawało się, że on albo nie chce, albo nie potrafi opanować sytuacji.

Miał też kilka przykrych doświadczeń z personelem, dobranym jeszcze w pierwszych dniach istnienia NRA. To sprawiło, że zaczął się sceptycznie zapatrywać na wiele osób ze swego otoczenia. Znalazł się w tak trudnem położeniu, że nie potrafił wytłumaczyć swoim podwładnym, o co mu właściwie chodziło.

PRZENIÓSŁ WALKĘ NA FORUM PUBLICZNE

Nie szczędził trudów, objeżdżał kraj i starał się nanowo spopularyzować NRA. Podejmował się pośrednictwa w sporach o warunki pracy, mimo że ustawowo wyjęto jednak tę dziedzinę spod jego kompetencji. Ale nawet wtedy nie przestał się w te sprawy mieszać.

Świat pracy zaczął patrzeć na jego poczynania podejrzliwie, a potem zupełnie krytycznie, i to nawet wtedy, kiedy „miażdżył" przemysł i przemysłowców obuchem swojego ustawodawstwa.

„The New York Times", Nowy Jork.

GEN. HUGH JOHNSON



Ustąpił z rządu Roosevelta, dlatego, że kodeks „kołdrowy", mający pokryć nieobjęte w innych kodeksach gałęzie przemysłu, był za mały, aby przykryć jego własną działalność.

Urodził się w 1882 w Kansas. Lata dziecięce spędził w dzikich prerjach Zachodu, potem wstąpił w West Point do szkoły wojskowej, której hasłem jest „Nie pracuj nigdy, jeżeli możesz bluff'ować".

Po wojnie Johnson zaczął energicznie prowadzić interesy do spółki z bankierem Baruchem, lecz wybił się dopiero podczas kampanji wyborczej Roosevelta. Po gwałtownej sprzeczce, jaką pewnego razu miał z prezydentem, Roosevelt powiedział do Barucha: „Przyślij mi pan tego nieokrzesanego człowieka".

Jako wszechmocny generał NRA Johnson stał się nadczłowiekiem. Przez noc stał się wielkim mówcą. Przebył 30.000 mil w samolocie. Szedł z miasta do miasta, jako bohater wielkich parad i pochodów z pochodniami.

Przez radjo rzucił hasło „Crack down" — zmiażdż wszystkich, którzy nie chcą współpracować z NRA.

Teraz zmuszono go, by ustąpił. Lecz jego pęd do pracy jest tak silny, że napewno o nim niedługo znów będziemy słyszeli.

„The Sunday Referee", Londyn.

NA PUNKCIE ZWROTNYM

JESIEŃ AMERYKAŃSKA

Gdy zeszłego roku o tej porze przybyłem do Nowego Jorku, znalazłem miasto opanowane przez godła NRA. Z wszystkich wystaw, dzienników i tygodników wyzierał niebieski orzeł, dzierżący szponami zębate koło przemysłu i miotający błyskawice. Symbol ten, będący tworem generała Hughes'a Johnsona nie był szczęśliwie wybrany. Obecnie stracił on wiele na swym potężnym uroku, jaki wywierał poprzedniej jesieni. Nie panuje już nad ulicą. Ledwie go się dojrzy w jakiejś wystawie i to tylko dlatego, że nie była od roku zmieniana. Byłoby jednak błędem sądzić o zniknięciu lub osłabieniu ducha i istoty rzeczy, którą ten ustępujący symbol sobą przedstawiał.

Spełnił on nałożone nań zadanie: pomógł Ameryce przetrzymać ciężki kryzys; uchronił życie gospodarcze, a tem samem i społeczne od chaosu; zwalczył rezygnację i panikę, które ogarnęły amerykanów przed półtora rokiem. To właśnie powodzenie NRA skłania do wystąpienia jego przeciwników, zwolenników starego, w Europie dawno już przezwyciężonego, ducha wybujałego indywidualizmu gospodarczego. Żądają przytem przyznania temu indywidualizmowi racji bytu w Stanach Zjednoczonych. Obecnie gdy z pomocą NRA ostrze kryzysu zaczyna tępieć, chcą oni przywrócić dawny stan rzeczy, zapominając, że minął on już bezpowrotnie. NRA, jej symbol i wiele jej drobnych zarządzeń znikną napewno. Nowy duch jednak i to, co tutaj streszcza się w nazwie New Deal, pozostanie. Tylko dzięki niemu Ameryka może przezwyciężyć kryzys. Działalność zaś Roosevelta polega tylko na tem, że rozpoznał konieczne drogi rozwoju i wskazał je. To właśnie charakteryzuje wielkiego męża stanu w czasach kryzysów i przełomów.

FRANKLIN DELANO ROOSEVELT



Prezydent Stanów Zjednoczonych; apostoł Odbudowy Narodowej; budowniczy Nowej Polityki społeczno-gospodarczej (New Deal).

Człowiek-przeznaczenia i twórca tego, co Al Smith nazwał the Boloney Dollar. Wystąpił do walki o godność prezydenta w chwili, kiedy nieżałowany i nieopłakiwany Hoover otrzymał najdotkliwszy cios, jaki kiedykolwiek widział Biały Dom.

Roosevelt jest podobny do aktora, twarz ma gładko wymasowaną i starannie przypudrowaną. Jest mistrzem w polityce i w rzucaniu haseł. Ameryka wierzy w jego szczerość i ta wiara dotychczas bardzo jej pomagała.

Teraz zbliżają się burzliwe dni dla Roosevelta. Odbudowa Narodowa nieszczególnie wygląda z dwunastoma miljonami bezrobotnych, ze strajkami i zaburzeniami i otwartem sprzeciwianiem się jej ustawodawstwu.

New Deal chwieje się. Lecz jak długo Roosevelt uśmiecha się, miljony amerykanów pójdą za nim.

„The Sunday Referee“, Londyn.

WROGOWIE NEW DEAL'U

Najważniejszymi przeciwnikami New Deal'u są tak zwani „reakcjoniści“, nie mający jednak nic wspólnego z konserwatystami w pojęciu europejskiem. Są oni zwolennikami skrajnego liberalizmu manchesterskiego. Pojęcie „wolność“, którem stale operują i które dzierżą wysoko, jako swój sztandar, straciło w Europie tę treść, jaką oni mu nadają. Hoover, poprzedni prezydent, za którego czasów kryzys osiągnął swój szczytowy punkt, przygotowuje książkę w obronie tej wolności.

Dwa wyjątki z tej książki ukazały się w najpopularniejszym tygodniku amerykańskim „Saturday Evening Post“. Hoover zarzuca tam Rooseveltowi naśladowanie faszyzmu i komunizmu, a temsamem ograniczenie tradycyjnej wolności amerykańskiej. Ostrzega on przed niebezpieczeństwem, tak wyraźnem w Europie, szerzenia się aparatu biurokratycznego, państwowych zarządzeń i wtrącania się do cudzych interesów. Występuje również za niehamowaną niczem wolnością myśli i słowa.

Nie brzmi to wcale reakcyjnie, ani konserwatywnie w pełnem tego słowa znaczeniu. Hoover twierdzi, że wolna wymiana myśli może istnieć tylko wówczas, gdy jest możliwa wolna, niekontrolowana działalność przemysłowa i handlowa. Biurokracja z konieczności prowadzi do propagandy. A ta jest subtelną formą wywierania nacisku na umysły, a temsamem grozi zniesieniem wolności myśli.

Hoover zapomina jednak, że opinja amerykańska zawsze ulegała wpływom propagandy, a często nawet była jej tworem. Prawie wyłącznie dzięki tej propagandzie powstało pojęcie, które tu określają mianem „big business“. Jego interesy były bronione przez Hoovera i jego partję, republikanów. Ta propaganda szerzy się jeszcze dzisiaj swobodnie i bez przeszkód, lecz obok niej kroczy inna jeszcze propaganda, która, biorąc za punkt wyjścia dobro państwowe, ma przed oczyma interesy narodu. To jest propaganda New Deal'u.

Przed rokiem nikt nie ważył się zwalczać ją publicznie. Wszyscy bowiem byli przekonani, że jest to jedyne wyjście z kryzysu. Hoover i jego towarzysze chcą jednak widzieć w tem tylko przejściowy zabieg, który spełnił już swe zadanie i uważają, że czas już wrócić do starych, wypróbowanych metod. Republikanie, którym wybór Roosevelta zadał poważny cios, chcą z walki przeciw New Deal'owi i rządom Roosevelta uczynić swe hasło przy następnych wyborach. Ostatnie wybory na gubernatora Stanu Maine wykazały jednak, że nie mają oni za sobą opinji, że mimo krytyki poczynań Roosevelta, a przedewszystkiem jego zarządzeń walutowych, ma Roosevelt za sobą przytłaczającą większość. Stan Maine leżący w północnej części Stanów Zjednoczonych, jest od lat silną ostoją republikanów, a obecnie ponownie wybrano Louis J. Branna, pierwszego demokratycznego gubernatora w tym Stanie od 16 lat. Jest to wyjątkowy wypadek w historji tego Stanu. A został wybrany, mimo, a może właśnie dlatego, że jego republikańscy przeciwnicy z walki przeciw New Deal'owi uczynili jeden z głównych punktów swego programu wyborczego.

Przy tych wyborach równocześnie i inna stara tradycja została przełamana. Już od 50 lat istnieje w Stanie Maine zakaz spożywania alkoholu. Obecnie zakaz ten zniesiono. Również i to posunięcie należy uznać za zwycięstwo New Deal'u, nowego ducha, wprowadzonego do Ameryki od półtora roku, od chwili objęcia władzy przez Roosevelta. Czasy prohibicji należy w Ameryce zaliczyć do przeszłości. Przybywając obecnie do Nowego Jorku, można się przekonać, że obyczajność przez to się nie pogorszyła, lecz nawet poprawiła. Stary „saloon“ już nie powróci, a pijatyki, straciwszy urok zakazanego owocu, przestały nęcić. Lata prohibicji nie poszły jednak na marne. Prohibicja okazała się dobrą szkołą moralności dla opinji amerykańskiej.

AMERYKAŃSKI KIEREŃSKI

NRA jest atakowana nietylko zprawa. Również lewica ostro krytykuje jej poczynania. Kierownicy ugrupowań lewicowych zarzucają New Deal'owi „zdradę klasy robotniczej“ i jej żądań. Rozczarowali się. Twierdzą, że stara się uratować kapitalizm, który jest bliski upadku. Roosevelt jest dla nich Kiereńskim amerykańskiego kapitalizmu, który toruje drogę radykalnemu faszyzmowi lub komunizmowi. Lecz Roosevelt kroczy bezwzględnie swą raz obraną drogą, nie zważając na krytykę i napaści zlewa i prawa, a przytłaczająca większość ludności kroczy za nim.

Mimo wszystko sytuacja nie przedstawia się w jasnych barwach. Z rozmów z amerykanami z różnych warstw społecznych można się przekonać, że radosna nadzieja, która dominowała poprzedniego roku, znikła, ale jej miejsca nie zajęła rezygnacja. Ludzie zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. Każdy wie, że drogi ratunku, a tembardziej drogi powrotu do pomyślnej konjunktury nie wskaże nikt, nawet sam prezydent. Zresztą nie przyrzekł on tego nigdy. Przyrzekł tylko szukać dróg. Po bezczynności poprzednich rządów było to już pewnego rodzaju rozwiązanie, otwierało nowe horyzonty, dodawało otuchy amerykanom. Nowe drogi są i obecnie poszukiwane. Nic nie jest jeszcze ustalone, wszystko jest płynne, nowe formy dopiero się rodzą. Dlatego też w kraju nie panuje rezygnacja.

Jeszcze nawet dziś przybysz z Europy wyczuwa w Ameryce oszałamiającą ruchliwość, pełnię życia, radość. W tym kraju, w którym odbywają się obecnie wielkie przeobrażenia społeczne i zmiany światopoglądu, panuje wolność myśli i słowa w skali dawno zapomnianej w większości krajów europejskich, a dla niektórych wcale nieznanej. Żadne prawo, ani żadne zarządzenie administracyjne nie ograniczyło w tych latach kryzysu wolności prasy lub swobodnego wypowiadania się. Również i rząd w Ameryce jest wystawiony na ostrą krytykę, a wolność krytykujących jest zapewniona w zakresie niespotykanym nawet w europejskich państwach demokratycznych. Zasadnicze rysy wolności amerykańskiej pozostały przez New Deal nienaruszone; są one dostosowywane do nowych czasów, by zapewnić jej dalsze istnienie.

Nowe czasy przyniosą również zmiany Nowemu Jorkowi. Jedna zmiana jest już dzisiaj widoczna. Nowy Jork był dotychczas ośrodkiem rzeczywistej władzy Stanów Zjednoczonych. Potężne drapacze chmur na południowym brzegu wyspy Manhattan, otaczające Wall Street i dolny Broadway stanowiły cytadelę „big business'u“, który reprezentował Herbert Hoover. Drapacze chmur pozostają, potężne miasto pozostaje, lecz punkt ciężkości władzy przesuwa się coraz bardziej ku Waszyngtonowi, siedzibie rządu Stanów Zjednoczonych. Waszyngton przeobraża się obecnie z cichego miasta mieszkalnego na prawdziwą stolicę całego życia amerykańskiego. Lecz i dla tego przeobrażenia nie znaleziono jeszcze konkretnych form. Wall Street walczy bowiem dalej o utrzymanie swego dawnego znaczenia. W tym wypadku nie jest to walka dwóch miast o wpływy, a wskazuje na to choćby to zjawisko, że Roosevelt sam jest newjorczykiem i że większość newjorczyków go popiera. Jest to walka dwóch zasad, dwóch poglądów na byt Ameryki i jej drogi rozwoju.

„Neue Zuercher Zeitung“, Zurich.

Heil Huey! — dyktator Luisiany

Stan Luisiana zgotował narodowi amerykańskiemu widowisko, jakiego dawno już nie znano. Centralną figurą widowiska był Huey Pierce Long, wymachujący rękami, krzyczący, zaklinający, pocący się — i wydający rozkazy, którym mało kto ośmielił się przeciwstawić. Sceną był budynek Kapitolu w Baton Rouge, a akcja dotyczyła umocnienia politycznego dyktatorstwa Senatora Longa nad Luisianą.

W zeszłym miesiącu Long starał się zagarnąć władzę burmistrza Nowego Orleanu przy pomocy siły zbrojnej. Gwardja przymaszerowała do miasta, a oddziały artyleryjskie zajęły biuro wyborcze. Ponieważ sąd chciał zaprotestować przeciwko używaniu wojska do rozgrywek politycznych, kacyk Long rozkazał gubernatorowi Alennowi zwołać ciało ustawodawcze na specjalną sesję dla zalegalizowania jego posunięć. W ciągu czterech dni senator z Luisiany uzyskał wszystko, czego żądał.

Zdarzenia potoczyły się wartko od chwili, kiedy władca Long rzucił słomkowy kapelusz na stół komisji i zaczął tłumaczyć swój zawierający 27 punktów program „czystki“. Pomiędzy nowemi przepisami, które wyrosły ze słomkowego kapelusza były następujące:

Bill zezwalający na przeprowadzenie śledztwa w zarządzie miejskim Nowego Orleanu, dokładna prawie kopja ustawy, która pozwoliła Samuelowi Seabury na usunięcie z urzędu burmistrza New-Yorku Jimmy Walkera;

Bill, nadający gubernatorowi prawo korzystania z gwardji narodowej w dowolnym wypadku bez zapytania o zgodę sądu stanowego. Jeżeli sędzia ośmieli się zaprotestować przeciw użyciu wojska, może być wtrącony do więzienia;

Bill, usuwający dostęp do urn wyborczych spod jurysdykcji szeryfów i dający gubernatorowi prawo mianowania dwóch albo trzech członków lokalnych komitetów wyborczych. Na dodatek gubernator jest uprawniony do angażowania nieograniczonej liczby straży wyborczej, płatnej na koszt gminy po 5 dolarów dziennie;

Bill, nadający policji stanowej władzę zwierzchnią i powiększający wydatnie jej liczbę.

Inne rozporządzenia podwyższyły opodatkowanie dzienników i reklam kinowych, postanowiły, aby Nowy Orlean opodatkował się na rzecz biedniejszych parafij, zabroniły loterji, ogłaszania programu wyścigów.

Komitet Wykonawczy oklaskiwał Boss Longa przez cały czas czytania programu „czystki“, a następnego dnia 27 nowych billów przeszło przez Izbę większością 60 głosów.

Jeżeli wydarzenia w Izbie Ustawodawczej były farsą, wypadki w Senacie wkraczały w dziedzinę najczystszej fantazji. Czekając za stołem na przybycie senatorów, Long rozmawia mile z dziennikarzami.

— Musiałem przecież zrobić kiedyś porządek, — mówił. — Ci ludzie tutaj zbyt lekko sobie brali politykę. Ale żadnego buntu już nie będzie.

Urzędnik zaczął czytać projekt ustawy.

— Niech pan nie czyta wszystkiego — krzyknął pan senator. Biorąc do ręki inny projekt, powiedział: To jest tylko prosta formalność. Wnoszę o uchwalenie ustaw.

Komedja osiągnęła szczytowy punkt, kiedy zjawił się fotograf dla wykonania zdjęć. Gwardzista przyboczny Longa otrzymał rozkaz aresztowania fotografa. Sekretarz gubernatora wstawił się za nim i wyprosił jego zwolnienie. Mniej szczęśliwy okazał się inny dziennikarz z Nowego Orleanu. Pochwycił go w żelazne ramiona brat Huey'a Longa, Earl, który niedalej jak rok temu publicznie piętnował dzisiejszego dyktatora, nazywając go złodziejem i kłamcą.

ZNACZENIE

Aż do zeszłego tygodnia Huey Long był rzeczywistym władcą Luisiany za wyjątkiem Nowego Orleanu. Prawa, które zdołał przeforsować, czynią go obecnie faktycznym dyktatorem Luisiany. Za pośrednictwem gubernatora, który jest jego figurantem, może oczyścić przy pomocy policji okolicę z wszystkich wrogich mu żywiołów. Milicja stanowa ma prawo opanować sądy. Dwie trzecie komisarzy wyborczych będą na żołdzie Longa i nikt nie może zabronić mu opłacać byle jakiego łotra z miasta po 5 dolarów za tę przysługę. „Kacyk“ Long nieprędko przegra kampanję wyborczą w Luisianie.

Kilka dni temu Ku Klux Klan nawoływał z Atlanty do krucjaty przeciwko Huey'owi Long. Tu i owdzie co odważniejszy obywatel Luisiany przepowiadał walki i przelew krwi w tym Stanie. Prasa na terenie Stanu i poza nim załamywała ręce. Ale w Baton Rouge jakiś dziennikarz napisał:

„Najnowszem hasłem w Stanie Luisiana jest teraz „Heil Huey!“ ale trzeba przyznać, że obywatele spokojnie znieśli pucz, który utrwalił władzę dyktatorską „kacyka“.

„Time“, Nowy Jork.

CZY UDA SIĘ FRANCJI PRZECIĄĆ

Tajemnica Stawiskiego pozostaje niezgłębiona

Upłynęło już osiem miesięcy od czasu, kiedy wybuchł skandal Stawiskiego, który poprzez krwawe rozruchy doprowadził do utworzenia „narodowego" rządu we Francji. Przez ten czas dwie komisje parlamentarne i szereg sędziów ze sztabem pomocników z policji zajmują się szukaniem prawdy. Opublikowano kilkanaście książek o osobie Stawiskiego, o zamieszkach, które były skutkiem „rewelacyj", o charakterze i działalności niektórych koteryj politycznych, a zwłaszcza masonerji, na którą najwięcej rzucają oskarżeń, a wreszcie o tajemniczej śmierci radcy Prince'a, który — zdaniem przyjaciół był w posiadaniu klucza tajemnicy, kim byli protektorzy Stawiskiego i w przededniu złożenia zeznań padł z ręki skrytobójczej wśród okoliczności mocno przypominających dawne rytualne morderstwa Carbonarich.

W związku z „aferą" w więzieniu zamknięto 15 osób, z panią Stawiską na czele. Są to wszystko postaci drugoplanowe i przestępstwa ich nie są dokładnie znane. Osobistości ważniejsze, jak dwaj ministrowie, René Renoult, który działał jako adwokat Stawiskiego wzamian za honorarjum w wysokości 50.000 fr. i André Dalimier, znajdują się pod dozorem policji.

Niema wątpliwości, że śledztwo komisji parlamentarnej i policji wyjaśniło wiele dotychczas ciemnych szczegółów. Ujawniono naprzykład, z jaką swobodą sprytny łotr może wyprowadzić policję i sprawiedliwość w pole. Ujawniono jak łatwo można podniecić oburzenie publiczne do stanu gorączki we Francji, a przynajmniej w Paryżu, i jak łatwo sprowokować zamieszki. Ujawniono, jaka galerja ludzi zbiera się wokół zalegalizowanych domów gry i kasyn. Ujawniono, że służba policyjna domaga się reform a metody sprawiedliwości — zupełnej reorganizacji.

STARCIE TARDIEU — CHAUTEMPS

Kiedy zbliska przyjrzeć się oskarżeniom, wydają się straszne. Pierwszem jest oskarżenie policji o zamordowanie Stawiskiego, czy też o spowodowanie jego samobójstwa. Oskarżenie to wypowiadano publicznie wiele razy i dotychczas jeszcze niewiadomo, ile w niem jest prawdy. Jeden ze świadków, twierdził, że Stawiski miał rewolwer w prawej ręce, inny mówił że w lewej. Od początku było wiele niejasności i sprzeczności prawdopodobnie świadomych. Jedynym ich skutkiem było umocnienie się przekonania w opinji publicznej, że cała afera jest conajmniej dziwna.

Inne formalne oskarżenie zostało wygłoszone 18 lipca przed komisją przez Andrzeja Tardieu, podsekretarza Stanu i eks-premjera Francji. Brzmiało ono:

„Od samego początku afery Stawiskiego p. Camille Chautemps (premjer w czasie wybuchu skandalu) wiedział o wszystkiem i starał się ukryć wszystko. Mojem zdaniem przez dziesięć ostatnich lat p. Chautemps, jako deputowany, jako premjer i jako głowa rodziny, był poinformowany o sprawkach Stawiskiego i tak on, jak i jego rodzina, otrzymywali honorarja zarówno od Stawiskiego, jak i jego wspólników".

Ze względu na wagę oskarżenia Tardieu komisja skonfrontowała go z Chautemps'em. Chautemps wystąpił z kontratakiem. Mimo, że jest radykałem i masonem, należy on do rasy Richelieu i Talleyrand'a. „Świadectwo pana Tardieu", powiedział spokojnym głosem, „wymaga zastanowienia się z dwóch powodów. Jest ono ważne z politycznego punktu widzenia; jest ważne z moralnego punktu widzenia. Drugi punkt widzenia pozostawiam ocenie Komisji. Jeżeli chodzi o pierwszy, zwracam tylko uwagę" — tu głos stał się twardy — „że członek rządu wziął na siebie odpowiedzialność za zerwanie rozejmu politycznego."

Odpowiedź ta zniszczyła całą strukturę oskarżenia, tak pracowicie wznoszoną przez Tardieu w ciągu ośmiu godzin. Usunęła sprawę poza komisję. Wezwano premjera Doumergue'a do Paryża dla stwierdzenia, czy rozejm miał trwać nadal, czy też miała nastąpić wojna polityczna?

Chautemps zwyciężył. Doumergue opowiedział się za rozejmem. Udzielił Tardieu'mu czegoś w rodzaju publicznej reprymandy i zostawił radykalnych członków gabinetu na placu; Herriot w ich imieniu odczytał oświadczenie dla prasy, w którem radykałowie powiadomili opinję, że mimo oskarżeń Tardieu zostają w rządzie w celu uratowania rozejmu i rządu, ale że ostateczną decyzję poweźmie kongres radykałów, zbierający się w październiku.

Było to 23 lipca. W kilka dni później sprowodu wakacyj komisja przerwała prace. Rozejm trwa nadal.

MAFFJA

Ponieważ ciężka artylerja Tardieu narobiła więcej hałasu niż szkody, kwestja odpowiedzialności rodziny Chautemps'ów w aferze Stawiskiego została chwilowo uchylona i wszystkie ataki przerzuciły się w stronę domniemanych sprawców śmierci radcy Alberta Prince.

W ROKU 2034



Profesor Piccard wraca z podróży międzyplanetarnej i zastaje komisję w sprawie Stawiskiego, wciąż jeszcze obradującą.

Tutaj natykamy się na niezgłębione tajemnice. Jeżeli jest prawdą, że Prince'a zamordowała jakaś maffia, to autorzy romansów kryminalnych mogą przestać pisać i posypać głowy popiołem. Tutaj działał bowiem mistrz, przewyższający wszystkich kryminalistów, kiedykolwiek stworzonych przez Wallace'a. I w rocznikach zbrodni politycznej trzeba cofnąć się wstecz do wieków średnich i do czasów człowieka o Żelaznej Masce, aby znaleźć coś podobnego.

Jeżeli jest prawdą! — i w tem rzecz cała! Jeżeli uda się ostatecznie dowieść, że Alberta Prince'a zamordowała klika polityczna, sprawa Stawiskiego, która dotychczas była aferą oszukańczą, akcyjną i łapówkową, jakich zdarzało się wiele w każdym kraju w ciągu ostatnich lat, przybierze inny zupełnie obrót. Demokracja będzie się musiała z tą kliką porachować, a Trzecia Republika będzie podminowana aż do fundamentów.

W książce, która ukazała się niedawno w Paryżu, „L'assasinat du Conseiller Prince" przez Alfreda Detrez, jest taki passus:

„Radca Prince wiedział, kim są protektorzy Stawiskiego i miał przestać milczeć. Dlatego musiał zginąć."

Kim byli mordercy? Oskarżyciele twierdzą, że trzech czy czterech mężczyzn porwało Prince'a niedaleko stacji w Dijon wieczorem 20 lutego i po uśpieniu go eterem zaniosło na tor kolejowy w Comes-aux-Fées, gdzie ciało Prince'a rozszarpał pociąg towarowy. Obok ciała leżał nóż poplamiony krwią człowieka, który już przestał żyć. Był to mord rytualny, a nóż, kupiony w Paryżu parę dni przedtem, podrzucono dla przestrogi.

W sprawie tej odegrali rolę inni jeszcze mężczyźni, którzy szpiegowali Prince'a w Paryżu— mężczyźni dobrze ubrani, w ciepłych płaszczach różnego koloru i w eleganckich getrach. Kim byli ci mężczyźni, których rysopis dziwnie zgadza się z wyglądem tajnych detektywów? Kto był inspiratorem zbrodni?

*

Od początku pełno było sprzeczności, tajemnicy i zamętu. W dniu, kiedy znaleziono ciało, jedni twierdzili, że to morderstwo, inni — że samobójstwo. Detrez tak tłumaczy sytuację, oczywiście jako przyjaciel zmarłego i jeden z propagatorów wersji morderstwa:

— Policja zdusiła prawdę, wolnomularze nakazali milczenie, politycy wiedzą, że będą zgubieni, jeżeli prawda ujrzy światło dzienne.

Jeden fakt zdaje się nie ulegać kwestji. Liczni lekarze, którzy oglądali ciało, jednogłośnie stwierdzili, że Prince nie popełnił samobójstwa.

W organiźmie nie było trucizny, natomiast w nerkach i płucach znaleziono ślady działania eteru. Mimo, że głowa leżała o parę metrów od rozszarpanego tułowia, doktorzy twierdzą, że znaleźli wokoło ust znaki po masce, przez którą dawano eter człowiekowi jeszcze żywemu.

Trzeba zatem wyeliminować tezę samobójstwa, zarówno jak przypuszczenie morderstwa dla rabunku czy z zemsty. Pozostaje zatem tylko supozycja, że była to zbrodnia polityczna. Dlaczego ją popełniono?

Tutaj zeznania świadków nie dają rozwiązania tajemnicy. Prince przez kilka lat działalności Stawiskiego był szefem departamentu, który śledził przestępstwa finansowe. Zwierzchnikiem jego był wówczas Georges Pressard, Prokurator Generalny. Po ujawnieniu afery Stawiskiego, między dwoma urzędnikami toczyła się żywa dyskusja na temat odpowiedzialności departamentu za nieukrócenie operacyj Stawiskiego.

Prince był jakoby w posiadaniu dowodów, że Pressard był odpowiedzialny za zwłokę w unieszkodliwieniu Stawiskiego i przez całe miesiące wstrzymywał raporty, które mu wręczano. Dowodów tych nie dostarczył. Co ciekawsze, nie znaleziono ich ani nie ujawniono po jego śmierci.

TAJEMNICA PRINCE'A

Pewne jest wszakże, że Prince chciał się nietylko bronić, ale że przygotowywał oskarżenie. Sam prosił o przesłuchanie p. Lescouvé, przewodniczącego komisji Sądu Najwyższego, która zajmowała się śledztwem. Miał dostarczyć dokumentów na poparcie swoich oskarżeń. Dnia 17 lutego Pressard, którego tymczasem zwolniono ze stanowiska, otrzymał ostrzeżenie o zamiarach Prince'a. Dnia 18 lutego Lescouvé poinformował ministra sprawiedliwości o tem, co usłyszał od Prince'a. W trzy dni później Prince nie żył...

Kiedy czytamy historję zbrodni taką, jak ją przedstawia w swej książce Alfred Detrez i w licznych artykułach prasa bardziej skrajnych kierunków, nie można wyobrazić jej sobie inaczej, jak pod postacią dzieła pewnego rodzaju Maffji, do której należały wysoko postawione osobistości i wielu członków policji. To zresztą zgadza się z intencjami oskarżycieli. Ataki ich skierowane są w pierwszym rzędzie przeciwko Pressard'owi i szwagrowi jego Kamilowi Chautemps, a poprzez nich przeciw partji radykalnej i wolnomularzom. Zdaniem ich Pressard odpowiedzialny jest za 19 odroczeń sprawy sądowej Stawiskiego, dzięki którym oszust mógł zmontować oszustwo lombardowe w Bayonne; Chautemps odpowiedzialny jest za osłanianie Pressarda. Ponieważ dziwnym trafem i Pressard i Chautemps są członkami lóż masońskich, wtrącono do całej historji masonerję, jako nadającą sprawie posmaku tajemniczości.

W tygodniku „Gringoire", wkrótce po śmierci Prince'a pisał Detrez: — Radca Prince zginął na rozkaz tajnego stowarzyszenia Carbonarich, których tradycja trwa w kilku lożach masońskich.

W tej redakcji historja obiegła całą Francję.

Tak samo jednak gwałtownie jak przyjaciele Prince'a podtrzymują hipotezę morderstwa, inni twierdzą stanowczo, że popełnił samobójstwo. Miota się przytem na Prince'a oskarżenie, że był skończonym łajdakiem i ze w chwili, gdy sprawki jego miały zostać ujawnione popełnił samobójstwo.

Sytuacja stała się niebezpieczna. Obrońcy systemu tajemnic i sekretów twierdzą, że najlepiej będzie stłumić i przygłuszyć całą sprawę, ponieważ w przeciwnym wypadku zagrożony może być cały régime. Przeciwnicy zaś odpowiadają, że może większe niebezpieczeństwo kryje się we wzmagającej się fali nieufności do instytucyj republikańskich.

Zanim jednak przystać na tezę Detrez'a, należy rozpatrzyć kilka jeszcze okoliczności. Spewnością, gdyby Pressard był protektorem Stawiskiego, a Chautemps protektorem Pressarda, pozostałyby jakieś tego ślady poza raczej nieokreślonem twierdzeniem Prince'a. Śladów żadnych niema. Jeżeli kiedykolwiek istniały — znikły wraz z portfelem Prince'a i spośród papierów, które pozostawił w domu.

Dotychczas nikt pozatem jeszcze nie przemówił. Nikt z tych, którzy oficjalnie bądź nieoficjalnie byli zaufanymi Prince'a, nie dowiódł istnienia racji dla popełnienia zbrodni politycznej na taką skalę. Przed komisją zeznawało wielu świadków, ale żaden z nich, za wyjątkiem Tardieu, nie sprecyzował swoich podejrzeń w formę bezpośredniego ataku.

KRAJ CHCE SPOKOJU

Tymczasem Henri Chéron, minister sprawiedliwości, w którego rękach skupiają się nici śledztwa niejednokrotnie i uroczyście zapewniał, że skrzętne poszukiwania prawdy trwają bez przerwy i że rezultaty poszukiwań będą ujawnione niezależnie od tego, czy to komuś ewentualnie zaszkodzi.

Jak jednak publiczność ma wierzyć, że szuka się prawdy, skoro z winy komisarza Bony, który prowadził śledztwo stracono cały miesiąc, oskarżając o zabójstwo trzech mężczyzn (De Lussatz, Venture i Carbone), mających niezachwiane alibi?

Chéron jest w takiej sytuacji, że mimo, iż cieszy się zasadniczo zaufaniem kraju, nikt nie wierzy, aby on czy ktokolwiek inny był w stanie kiedykolwiek zgłębić całą tę sprawę — chyba, że przyjdzie z pomocą przypadek.

*

Politycznie, śmierć Prince'a ma teraz właśnie olbrzymie znaczenie. Bo, jeżeli rozejm będzie zerwany, albo stary premjer Doumergue padnie ofiarą swego sędziwego wieku, wtedy nawet w

(Dokończenie na str. 7)

WĘŻOWISKO POLITYKI I ZBRODNI?

Policjant Mariani — jeszcze jeden sławny syn Korsyki

W jaki sposób inspektor Mariani, wybitny urzędnik policji mógł stać się gangsterem, szefem bandy? Przejść, jak się sam wyraził, na stronę nieprzyjaciela? Jak się to stało, że nie umarł ze wstydu, gdy te same kajdanki, które tyle razy zakładał innym, zadźwięczały na jego rękach?

Znając go dobrze, widząc go przy pracy i podczas zabawy, w miejscach, gdzie praca była niebezpieczna, a zabawa rzadkością, mam wrażenie, że znam głęboko ukryte przyczyny, które sprowadziły go z drogi prawa.

Mariani nie należał do tych agentów, których karykaturzyści rysują w dużych melonach, z wielkiemi wąsami, i ciężkiemi, podkutemi butami, przeciwnie, był on zgrabny, elegancki i swobodny.

Po zameldowaniu mi się pod fałszywem nazwiskiem Allegrini, o ile mnie pamięć nie myli, wszedł do mego pokoju w hotelu.

— Przychodzę — rzekł — z polecenia p. X., mego kuzyna, który poinformował mnie, że pan poszukuje szofera.

Zrazu nie miałem żadnych podejrzeń. Nie wyglądał on na funkcjonarjusza policji. Nie sprawiał również wrażenia człowieka z towarzystwa. Kapelusz na bakier, jedwabny szal, jaskrawa chusteczka w kieszonce palta, przesadny krój ubrania, — wszystko to nadawało mu raczej wygląd kogoś ze świata przestępczego. Zadałem p. Allegrini kilka pytań, poczem poprosiłem go, aby wstąpił do mnie trochę później.

Gdy powrócił, wskazałem mu krzesło, poczęstowałem papierosem, nalałem do kieliszków wina korsykańskiego i w chwili, gdy odstawiał kieliszek, błyskawicznie odchyliłem klapę jego marynarki, gdzie znajdował się srebrny znaczek z inicjałami francuskiej policji kryminalnej.

Chciał wstać i wyjść. Kazałem mu jednak usiąść i wypaliłem prosto z mostu:

— Pan jest Pawłem Mariani, inspektor policji, przebywający na urlopie w Ajaccio!

Pański plan polegał na obwożeniu mnie po zaroślach korsykańskich (macchia), celem asystowania przy spotkaniu, które odbędzie się w niedalekiej przyszłości między mną i bandytą Spadą.

— Wszystko się zgadza — przyznał Mariani, zmuszając się do uśmiechu.

— Chciał pan skorzystać z tego spotkania, aby trochę przewietrzyć swój rewolwer automatyczny, tkwiący w pańskiej kieszeni i wyładować jego magazyn w brzuch Spady. O następstwa pan nie dba, nieprawdaż? Gdyby się udało, ja, jako reporter, byłbym skompromitowany na zawsze, uważanoby mnie za pańskiego wspólnika. Gdyby zaś sprawa przybrała zły obrót, co jest zresztą bardzo prawdopodobne, gdyż Spada spewnością śledzi każdy pański krok, ten bandyta zastrzeliłby z zimną krwią i mnie i pana.

Od tego dnia uważałem Marianiego za człowieka, odznaczającego się niezwykłą odwagą, ale jednocześnie niekonsekwentnego aż do absurdu.

Podczas mego pobytu na Korsyce spotykałem go często. Jedna z otrzymanych przezemnie informacyj okazała się nieścisłą: Mariani nie był na urlopie — wysłano go ze specjalną misją, aby dopomógł w schwytaniu bandyty Bornea.

— Oczekuję, że bandyta podda się lada godzina... — mawiał.

Poczem dodawał z pogardą, ujawniając częściowo swój oryginalny charakter:

— Jabym się nigdy nie poddał, będąc na jego miejscu! Wolałbym raczej zginąć od kul przeciwnika!

Pewnego wieczora tak oto zwierzał się kilku niezbyt zresztą chętnym słuchaczom, siedzącym z nim w kawiarni:

— Bornea! Moi drodzy, teraz jest piąta po południu. Gdybym tylko chciał, przed godziną siódmą mógłbym go aresztować, lub zastrzelić... Wiem, gdzie się ukrywa!

Szmer niedowierzania był odpowiedzią na to oświadczenie:

— Wiem, gdzie jest w tej chwili Bornea — dowodził Mariani — nie mogę jednak, niestety, zrobić ani kroku w tej sprawie, gdyż wyobraźcie sobie, że jest on gościem jednego z mych krewnych...

Nikt oczywiście nie wierzył w te historje, owoc podnieconej wyobraźni. Przypuszczam, że i Mariani nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego co mówił, tak samo, jak nie zdawał sobie sprawy ze swej bezczelności.

Równie odważny, jak niezmordowany, z chwilą rozpoczęcia jakiejś roboty pracował, jak zwierzę. Za 1.800 fr. miesięcznie znosił najcięższe trudy i ryzykował życie w niebezpiecznych wyprawach. Odznaczając się olbrzymią żywotnością spędzał czas na zasadzkach w okolicznych grotach, sypiał na golej ziemi, hulał po wiejskich karczmach.

Mariani nie umiał ograniczyć tej dwulicowej egzystencji i utrzymać jej w ramach, wymaganych przez służbę w policji. Dla przyjemności, dla pieniędzy dał się omotać bandytom, którzy ogłosili go swym szefem. Początkowo przypuszczał, że uzyska w ten sposób drogocenne informacje. Bandyci urządzali dla niego wspaniałe uczty, — Mariani musiał się rewanżować. Wkońcu noga mu się pośliznęła. Dzień, w którym zaczął rozmawiać z nimi, jak przyjaciel, a nie jak policjant, był jego zgubą.

„Vu“, Paryż.

Rola wywiadowców w policji francuskiej

Sprawa Marianiego odsłania z całą przejrzystością jedną z najpoważniejszych wad organizacji policji śledczej we Francji.

Znany jest sposób obrony Marianiego:

— To, co zrobiłem leży w interesie policji. Zamiarem moim było schwytanie bandy złodziejów marek stemplowych. Miałem swoich wywiadowców. Nie jestem obowiązany uprzedzać o moich czynach i zamiarach mych szefów i kolegów.

Wywiadowcy!.. Na tych wyrzutkach społeczeństwa, na tej zgniliźnie moralnej oparty jest obecnie cały system policyjny. Wywiadowców spotyka się równie dobrze w ambasadach, jak w najgorszych spelunkach. Podajemy im rękę, zwierzamy się, jak najlepszemu przyjacielowi, siadamy z nimi do stołu. Wywiadowca okazuje nam wzruszające wprost przywiązanie. Interesują go nasze najintymniejsze sprawy. A jeżeli policja ma jakikolwiek powód, aby się nami zainteresować, wszystkie wiadomości wywiadowcy, prawdziwe lub zmyślone, wzbogacą kartoteki Urzędu Śledczego.

Wywiadowcy kosztują rząd ponad 100 miljonów franków rocznie. Policja uważa oczywiście, że ludzi, którym się tyle płaci, należy eksploatować, ile się da. Gdy tylko jakaś sprawa bywa powierzona Urzędowi Śledczemu, ten ostatni zwraca się przedewszystkiem i wyłącznie do swych wywiadowców. Zaczyna się oczekiwanie. Jeżeli wywiadowcy o niczem nie wiedzą, policja błądzi poomacku. W ten sposób mamy tyle nierozwiązanych zagadek kryminalnych.

Rezultatem tej metody jest posługiwanie się inspektorów policji prywatnymi wywiadowcami, pracującymi wyłącznie dla nich. W ten sposób widzimy funkcjonarjuszy policji, nawiązujących przyjacielskie stosunki ze „światem podziemnym“ — bandyci i złodzieje awansowali na współpracowników policji. Zaiste, stan rzeczy godny pożałowania!

Oto geneza skandalu inspektora Mariani.

OFIARA METOD POLICYJNYCH

Mariani, w chwili wstąpienia do służby śledczej był człowiekiem uczciwym. Jest on ofiarą fatalnych metod, stosowanych w policji. Jego wywiadowcy byli najpierw jego przyjaciółmi, potem wspólnikami. Pracując bez żadnej kontroli, początkowo dla dobra policji, z biegiem czasu zaczął pracować na własny rachunek.



Psy-wilki, trenowane do walki z bandytami

Zawód policjanta wymaga wyjątkowej uczciwości. W niewielu zawodach ludzie są tak często narażeni na najsilniejsze pokusy. Wielu nie poddaje się. Inni dają się wciągnąć. Jest to zupełnie ludzkie, a nawet logiczne.

Policjanci służby śledczej są bardzo źle płatni. To musi ulec zmianie, inaczej żadna reforma nie da pozytywnych rezultatów. Należy zmienić system werbowania policji: kandydat, budzący najlżejsze nawet podejrzenia, winien być bezapelacyjnie odrzucony.

Leży w interesie każdego obywatela francuskiego, aby istniejący stan rzeczy uległ gruntownej zmianie. Nie mniej zainteresowana jest policja śledcza. Jeśli reforma nie nastąpi, w najbliższym czasie wybuchną nowe skandale.

„1934“, Paryż.

Tajemnica Stawiskiego pozostaje niezgłębiona

(Dokończenie ze str. 6)

wypadku, gdyby niczego nie było można dowieść, kampanja wyborcza skieruje się przeciw „mordercom Prince'a“, ludziom, „którzy osłaniali Stawiskiego“ „łupieżcom grosza publicznego“. W takich okolicznościach jest możę mądrzej utopić skandal w komisjach i pogrzebać pod stosem raportów i dossiers.

Z tego powodu, między innemi, tysiące ludzi z wszystkich partyj, najzupełniej niewinnych i nie mających nic wspólnego ze sprawą Stawiskiego, czy Prince'a, ani z ukrywaniem trudnej do wydobycia prawdy, modli się codziennie o najdłuższe życie premjera Doumergue'a, o wieczne trwanie rozejmu i o falę zapomnienia, która wypadki sprzed ośmiu miesięcy okryje mrokiem historji.

Z drugiej strony, istnieje jednak mała i aktywna klika, pod pewnemi względami identyczna z tą, która rozpętała rewoltę z 6 lutego, bardzo niechętnie godząca się na utopienie sprawy Prince'a. Ale między obecną sytuacją a szóstym lutego jest ta różnica, ze nikt nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności za zerwanie rozejmu i zaatakowanie rządu. Nowa klika musi przedewszystkiem zyskać sobie sympatję narodu, naród zaś chwilowo przedewszystkiem pragnie trwania rozejmu i ponadpartyjnego rządu Gastona Doumergue!

„The New York Times Magazine“, Nowy Jork.

HIGH LIFE



Widzisz, jaki on jest szykowny...
To pewnie jest inspektor tajnej policji.
„Vendemiaire“, Paryż.

Doniosłe wybory kantonalne

Siódmego października naród francuski miał sposobność wypowiedzieć się w sprawie polityki wewnętrznej i zająć stanowisko do rządu Gastona Doumergue'a.

Wybory kantonalne nie mają zasadniczo wielkiego znaczenia politycznego, potencjalnie jednak ich znaczenie jest bardzo poważne, albowiem Radom Generalnym przysługuje nawet prawo zastąpienia parlamentu i senatu, o ile te nie mogą się zebrać i wykonywać swoich prac.

Dziś wybory kantonalne mają tem większe znaczenie, że chodzi o rozgrywkę między rządem Doumergue'a, który opiera się o prawicę i centrum, a tak zwanym wspólnym frontem socjalistów i komunistów.

Stanowisko radykałów, tej najsilniejszej partji francuskiej, jest dość trudne, jednak przywódca ich Herriot stanął stanowczo po stronie rządu Doumergue'a i ostrzegał swoich stronników przed ewentualnemi kompromisami z socjalistami. Wybory kantonalne stanowią obecnie ważne wydarzenie polityczne, są one bowiem zajęciem stanowiska wobec dzisiejszej polityki i ustroju Francji i zadecydują pośrednio o ich przyszłości. *„Frankfurter Zeitung“, Frankfurt.*

Francja na skrzyżowaniu dróg

„Znajdujemy się w decydującej chwili, na skrzyżowaniu dróg. Chodzi o przyszłość Francji, o przyszłość każdego z was bez różnicy.

„Macie do wyboru pomiędzy porządkiem a nieporządkiem — między zniesieniem swobód i praw, zdobytych przez waszych ojców, a ich zachowaniem — między pokojem wewnętrznym, który jest warunkiem pokoju zewnętrznego, a wojną domową, z której wyłoni się wojna zewnętrzna.

„Komuniści i socjaliści są za zniesieniem suwerenności narodu, za ustanowieniem dyktatury kilku uprzywilejowanych menerów, za stosowaniem przemocy — to znaczy za wojną domową i jej nieuniknionemi skutkami, za zniesieniem wolności, za zniesieniem wszystkich swobód, przedewszystkiem wolności opinji, za zniesieniem własności prywatnej i tych wszystkich praw do niej, które nasi ojcowie zdobyli w 1789 roku“.

„Z przemówienia radjowego premjera Gastona Doumergue'a.“

WIELKI KRYZYS W ROKU 1848

(Artykuł niniejszy jest wyjątkiem ze słynnego w swoim czasie dzieła p. t. „Jerôme Paturot w poszukiwaniu idealnej Republiki", napisanego po rewolucji w roku 1848 przez Ludwika Reybaud, członka Akademji Francuskiej. Autor opisuje w swej książce ówczesną sytuację we Francji, do złudzenia przypominającą, jak się o tem zaraz przekonamy, sytuację obecną).

CHAOS EKONOMICZNY

Nietylko Paryż cierpiał; bogactwo całego kraju było poważnie zagrożone. Wszystkie gałęzie przemysłu są sparaliżowane. Uniknęły ruiny jedynie te zakłady przemysłowe, które fabrykowały artykuły pierwszej potrzeby — tem niemniej ich zdolność produkcyjna zmniejszyła się znacznie. Przemysł luksusowy, podstawa naszego eksportu, znikł z powierzchni ziemi.

W tych burzliwych czasach zwyczaje i obowiązki ludzkie ulegają bezustannym zmianom. Jest w dobrym tonie nie pokazywać się na mieście, uchodzić za zrujnowanego... Tylko, że tym razem ruina nie jest fikcją; dosięgła ona wszystkich bez wyjątku — od miljonera do prostego robotnika. Potworny bilans, niepokojący najbardziej nawet zrównoważonych obywateli!

Długotrwały pokój, dobrobyt klasy średniej, nadmiar kredytu, panowanie aferzystów wszelkiego rodzaju — wszystko to spowodowało zalanie kraju olbrzymią ilością najrozmaitszych papierów wartościowych, których upłynnienie mogłoby nastąpić jedynie w okresie stałego pokoju i równowagi umysłów. Tymczasem w kraju szalał huragan; akcje kolejowe, bony skarbowe, akcje przedsiębiorstw prywatnych i banków, obligacje miast — stały się naraz prawie bezwartościowemi świstkami papieru. Straty były rozmaite: niekiedy wynosiły całkowitą wartość, w żadnym wypadku nie były jednak mniejsze od połowy nominalnej ceny.

Europa miała zbyt łatwy kredyt i musiała odpokutować swój błąd.

Kredyt, oparty na poważnych przedsięwzięciach i realnych zabezpieczeniach, może osiągnąć nieograniczony rozwój; mając jednak za podstawę podejrzane zabezpieczenia i fikcyjne przedsięwzięcia charakter jego ulega zasadniczej zmianie. Staje się on niebezpieczną bronią w rękach aferzystów.

BRAK GOTÓWKI, ZAMYKANIE BANKÓW

Pieniądz znikł; był moment, że pozostało po nim tylko wspomnienie lub nieliczne próbki „wymarłej rasy". Był to punkt kulminacyjny kryzysu. Domy bankowe waliły się jeden za drugim, mając portfele wyładowane papierami wartościowemi. Całe ulice zamykały swe magazyny i kasy. Fabryki nie wykonywały otrzymanych zamówień; nazwiska, które przetrwały całe generacje z honorem i bez najmniejszej skazy, zmuszone były kapitulować w walce z rozgrywającemi się wydarzeniami. Byli tacy, którzy z godnością znosili porażkę, innych rozpacz pchała do samobójstwa. Nigdy jeszcze nie widziano podobnej ruiny w tak krótkim czasie.

„ZBAWCY LUDZKOŚCI"

Nie brakowało bynajmniej takich, którzy chcieli ratować kraj: ich cudowne plany ogłaszane były na wszystkich rogach Paryża; codziennie stu ludzi podejmowało się uzdrowić chore społeczeństwo. Ich zdaniem, zło było wynikiem jakiegoś nieporozumienia; aby temu zaradzić mieli oni niezawodne lekarstwa i magiczne formułki.

Oczywiście zrobią to bezinteresownie — nie chcą sprzedać czarodziejskiej recepty, pragną ją ofiarować Ojczyźnie. Później, o ile okaże się dobra, naród zapłaci im sławą, opinją, jakimś niewielkim pomnikiem... Za życia, lub po śmierci, do wyboru!

Pojawiło się wielkie zagadnienie; naród czekał z niecierpliwością, należało działać. Rzucono hasło: zorganizować pracę! Jakże łatwo jest powtarzać te słowa po tysiąc razy, w różnych tonacjach, jak trudno jednak przystąpić do ich realizacji.

WIELKIE PRACE DLA ZWALCZANIA BEZROBOCIA

Organizacja pracy przekształciła się w „prawo do pracy": gra słów, nie będąca dla nikogo nowością. Napuszony dekret uświęcił ten dziecinny koncept, nie wytrzymujący żadnej krytyki. Było to albo szaleństwo, albo kłamstwo. Jeżeli praca, którą rząd miał rzekomo zapewnić, nie była traktowana poważnie, — oznaczałaby poprostu jałmużnę. Jeżeli jednak projektodawcy dekretu uważali tę pracę za możliwą do zrealizowania, stałą, wówczas należałoby współczuć rządowi, dotkniętemu podobnem szaleństwem, a jeszcze bardziej narodowi, wydanemu na łup takiego rządu.

W kilka dni potem wybuchła nowa bomba, bardziej głośna i znacznie szkodliwsza. Był to dekret, skracający o 2 godziny dzień pracy robotników, zatrudnionych w przemyśle. Była to obosieczna broń, skierowana zarówno przeciwko robotnikom, jak i przemysłowcom. Ci ostatni złożyli w Luksemburgu memorjał, w którym błagali o litość, twierdząc, że praca w podobnych warunkach stanie się niepodobieństwem. Zmusi ich do zamknięcia fabryk i wyrzucenia na bruk robotników, którzy powiększą szeregi bezrobotnych.

„Les Annales", Paryż.

W obronie miljonerów

Z artykułu angielskiego magnata okrętowego, miljonera lorda Runciman'a, zamieszczonego we francuskim miesięczniku „Le mois". Lord Runciman jest ojcem brytyjskiego ministra handlu.

Pewien przywódca robotników orzekł, że miljoner nie może mieć duszy. Zdanie to utrzymywało się przez długie lata, zanim wielu bogatych socjalistów nie zasiadło na ławach Partji Pracy w parlamencie. Ale jeszcze dzisiaj są ludzie, którzy powtarzają ten nonsens.

Ja znałem osobiście wielu miljonerów. Mają te same troski i pragnienia, co ludzie zwyczajni. Są tylko od nich bardziej przewidujący i energiczni. Umieją wykorzystać sposobność tam, gdzie inni nic nie widzą. Wyzyskują umiejętnie każdą rzecz i zapewniają w ten sposób szczęście sobie samym i swemu otoczeniu. Oto cała ich wina!

Pracujący miljoner jest raczej podobny do skazańca. Dla niego nie istnieje ośmiogodzinny dzień pracy; nie zna spędzonych na hulankach nocy, ani coctail-parties. Nie ma czasu na rozrywki. Tydzień pracy ma pełnych siedem dni. Pracuje bez ustanku. Trud i zmartwienia nie mają końca. A jednak nie spotkałem jeszcze jednego, który skarżyłby się z tego powodu! Wprost przeciwnie, znałem takich, którzy chełpili się tem, że pracują wyłącznie dla samej przyjemności, jaką daje praca, bez oglądania się na korzyści materjalne. Inni cieszą się z potęgi, jaką daje im bogactwo, tylko dlatego, że mogą pomagać swoim bliźnim. Wielu było takich, którzy mieli inne ideały, niż pieniądz. Pewien młody człowiek, Tomasz Bat'a przed czterdziestu laty, cierpiał wiele widząc, jak jego współobywatele chodzą boso, gdyż nie są w stanie pozwolić sobie na kupno pary trzewików, wskutek niesłychanej drożyzny. To właśnie współczucie zrobiło z niego wynalazcę. Rozpoczął fabrykację taniego obuwia tak, że żadna fabryka nie mogła myśleć o konkurowaniu z nim. Powodzenie jego było tak wielkie, że umierając zostawił po sobie miljonowy majątek. Całe życie przyświecał mu jeden cel: zaopatrzyć jaknajwięcej ubogich ludzi w obuwie. Ideał ten przyniósł mu bogactwo, ale ono nie było wyłącznym celem jego działalności. Można go nazwać dobroczyńcą ludzkości, a takich jak Tomasz Bat'a było i jest więcej.

Gdy jeden z moich wrogów zwrócił się do mnie z pytaniem: „co pan właściwie uczynił dla ludzkości?" Odpowiedziałem: „nic innego, tylko dałem tysiącom ludzi pracę, a przez nią środki do życia dla ich żon i dzieci, ponadto puściłem w obieg moje pieniądze, a to przynosi korzyść państwu." Nie mam zamiaru bawić się w obrońcę bogactwa i bogaczy. Wiem dobrze, że w życiu są wznioślejsze cele od zarabiania pieniędzy, cóż, kiedy niektóre szlachetne uczynki można uskutecznić tylko z ich pomocą.

Zapewne, byłbym wolał stworzyć obraz Madonny Syktyńskiej, albo skomponować mszę świętą, niż zarobić miljon. Ale skoro odmówiono mi tego, robiłem co umiałem, a nie jest to napewno bez wartości, skoro przyniosło korzyść w postaci pieniędzy.

Bogactwo jest mecenasem sztuki. Połowa arcydzieł przeszłości — od Leonarda, Celliniego, Michała Anioła, — nie byłaby nigdy stworzona, gdyby nie znaleźli się miljonerzy, zachęcający i wspierający mistrzów. Co więc takiego robi, ten nieszczęśliwy miljoner, że ściąga na siebie tyle nienawiści ze strony tych, którzy nie należą do jego klasy? Jego majątek, twierdzą, stoi w zbyt jaskrawem przeciwieństwie do ubóstwa innych. Agitatorowie pozwalają sobie przedstawiać miljonerów jako nielitościwych, pozbawionych serca wyzyskiwaczy robotniczej klasy.

Oczywiście, grupy, stojące blisko socjalizmu malują miljonera jako **prawdziwe** wcielenie djabła. Jego majątek jest nadwyżką uzyskaną z pracy drugich, którą kapitaliści zagarnęli wyłącznie dla siebie. Pierwszym krokiem do nieba jest odebrać mu to, co uzyskał wskutek wadliwego ustroju socjalnego.

Dobrze i pięknie, ale pozwólcie i miljonerowi przyjść do głosu. Niech mi będzie wolno powołać się na wielkich twórców, artystów i muzyków, których dzieła przyczyniły się do podniesienia intelektualnego stanu ludzkości. Jesteśmy im z całego serca wdzięczni i cieszymy się, widząc jak odbierają oznaki czci i hołdu. Niech mi więc będzie wolno pochwalić i tych, którzy swoich współziomków wyciągają z nędzy i ubóstwa! W rzeczywistości zarabia się dla siebie tyle miljonów, ile zarobił Rafael na stworzeniu Madonny Sykstyńskiej. Otóż można zarobić miljon, nie mając z tego nic dla siebie, podobnie jak mógł malować Rafael, żeby jego uczniowie nie mieli z tego żadnej korzyści. Takie jest zdanie miljonera i właśnie to chcą ukryć za wszelką cenę ci wszyscy, którzy starają się podniecać i utrwalić nienawiść przeciw niemu.

„Le mois", Paryż.

Korzyści skrócenia czasu pracy

P. Geoffrey M. Mander, poseł do parlamentu brytyjskiego, prezes zarządu wielkich zakładów przemysłowych „Mander Brothers" w Wolverhampton, w Anglji ogłasza w znanym piśmie niedzielnem artykuł o doskonałych wynikach wprowadzenia 40 godz. tygodnia pracy.

Blisko dwa lata temu po raz pierwszy rozpoczęliśmy nasze eksperymenty z 40 godzinnym tygodniem pracy. Wtedy wyłoniła się konieczność rozważenia racjonalizacji fabryk w celu doprowadzenia naszych przedsiębiorstw do najwyższego stopnia wydajności.

Taka reorganizacja, byliśmy przekonani, da nam możność wytrzymać wszelką konkurencję, ale niewątpliwie oznacza wprowadzenie naukowego systemu pracy planowej. Zasięgnęliśmy przeto najlepszych rad rzeczoznawców i zastosowaliśmy najbardziej naukowe metody udoskonalenia naszej produkcji.

ZATRZYMANIE LUDZI NA POSADACH

Dla starego przedsiębiorstwa — Mander Brothers założonego w roku 1792 — taki krok wymaga głębokiego zastanowienia się. Racjonalizacja pociąga zawsze powiększenie urządzeń fabrycznych i redukcję robotników. Wydatki na usprawnienie techniczne gotowi byliśmy poczynić, natomiast zredukowania liczby robotników chcieliśmy za wszelką cenę uniknąć.

Powiedzieliśmy o tem robotnikom naszym zupełnie otwarcie. Po długich naradach podpisaliśmy ostatecznie układ ze Związkiem Robotników Transportowych w 1932 r., na którego mocy zobowiązaliśmy się uniknąć wymówienia pracy.

Pozatem obiecaliśmy utrzymywać płace na stawce zasadniczej 55 szyl. tygodniowo za 40 godzin pracy dla mężczyzn, i 28 sz. dla kobiet.

Robotnicy i inni pracownicy mieli otrzymywać te same płace za 40 godz. tydzień pracy, co za 48 godz. tydzień. Jednocześnie zobowiązaliśmy się nikomu nie wymawiać w przeciągu sześciu miesięcy, a w razie zwolnienia wypłacić odpowiednie odszkodowanie.

Związek ze swej strony wyraził swoją zgodę na wprowadzenie nowego systemu pracy akordowej w jednym oddziale. O ile ten system okazałby się skutecznym, należało go wprowadzić również w innych oddziałach na tych samych warunkach.

Aczkolwiek nie wprowadzono planu we wszystkich naszych fabrykach, obecnie obejmuje on bardzo znaczną część naszych pracowników. W niektórych zakładach stosowany jest już prawie dwa lata. Wyniki są dotychczas bardziej, niż zachęcające. Pod pewnemi względami były one rewelacją tak dla nas, jak i dla pracowników.

TAŃSZE CENY

Zarobki wzrosły przeciętnie o około 25 pr. produkcja zwiększyła się, a koszty pracy zmalały. To dało nam możność robienia większych interesów, ponieważ możemy sprzedawać po niższych cenach, a w obecnych czasach niska cena jest najczęściej czynnikiem decydującym przy sprzedaży.

Następnie, nie było potrzeby żadnych wymówień wskutek wprowadzenia nowego systemu; to naprawdę prześcignęło nasze nadzieje.

Dla niektórych znaleziono pracę w innych działach, a lepszy stan interesów, rzecz jasna przyczynił się jeszcze bardziej do polepszenia warunków pracy. W ostatecznym wyniku byliśmy w stanie uniknąć konieczności powiększenia szeregów bezrobotnych.

Wśród tych, którzy pracują 40 godzin tygodniowo, to znaczy pięć dni w tygodniu, z wolną sobotą i niedzielą, odsetek wypadków choroby i dni opuszczonych zmniejszył się. Ilość nieszczęśliwych wypadków nie wzrosła.

O jakimkolwiek powrocie do dawnego 47-godzinnego tygodnia pracy robotnicy nasi stanowczo nie będą chcieli słyszeć.

„John Bull", Londyn.



Temu malarzowi to dobrze... Może śpiewać podczas pracy...

„Ric-Rac", Paryż.

Bernard Gervaise

DOBRA ROBOTA

Tego wieczora Emil, który znany był również pod imieniem Milo, znajdował się na dancingu „Zielony Balonik“, mieszczącym się w okolicy placu Bastylji. Zaglądał tam wogóle dość często, nie dla ciekawości, ale z przyczyn, wynikających z jego zawodu. Od kilku lat dancingi w okolicy Bastylji stały się znakomitym terenem łowieckim, bogatym w zwierzynę, gdyż wieczorami przychodziły tam wszystkie te, które marzyły o innej przyszłości, niż praca w biurze lub pracowni krawieckiej i którym wystarczała niewielka zachęta, aby zejść na inną drogę.

Rozglądając się po lokalu, Emil spostrzegł jakąś młodą kobietę, siedzącą samotnie w kąciku. Skromna sukienka, twarz dość sympatyczna, nieudolnie uszminkowana. — Napewno pokojówka — pomyślał z nieomylnością mężczyzny, który zna się na tem. Zbliżył się do siedzącej i rzekł, kłaniając się z wdziękiem:

— Czy zechciałaby pani zatańczyć ze mną?

— Ja nie... nie tańczę zbyt dobrze — powiedziała nieśmiało, czerwieniąc się lekko.

— O, to nie szkodzi, ja panią poprowadzę.

Po skończonym tańcu Emil odprowadził młodą kobietę do stolika i bez żenady usiadł przy niej.

— Pani jest tu po raz pierwszy? — zaczął.

— Tak, przyszłam tu z jedną z koleżanek.

— A cóż się z nią stało, z tą pani koleżanką? — zapytał.

Nowy rumieniec.

— Nie wiem — odpowiedziała z zakłopotaniem. — Musiała chyba wyjść z kimś.

Emil rzucił nieznaczne spojrzenie na stolik. Było tylko jedno nakrycie. — Kłamie — pomyślał — przyszła tu sama i szuka przygody.

Tańczyli ze sobą jeszcze kilka razy, ale przed godziną 12-ą nowa znajoma oświadczyła, że musi już iść.

— Tak wcześnie? — zdziwił się Emil tonem lekkiej wymówki.

— Tak, — tłumaczyła się — muszę wracać do moich chlebodawców.

— O tej porze do chlebodawców?

— Jestem pokojówką — wyznała. — Moi państwo pozwalają mi trochę wychodzić wieczorami, ale pod warunkiem, że wrócę przed północą.

A więc była pokojówką! Emil zgadł. Zaspokojenie miłości własnej dopomogło mu do ukrycia rozczarowania, które go ogarnęło, gdyż liczył, że spędzi tę noc razem z nią.

— Czy będę mógł jeszcze panią zobaczyć?— zapytał.

Przyrzekła, że przyjdzie pojutrze — i dotrzymała słowa. Tego dnia Milo dowiedział się od niej wielu rzeczy. Przedewszystkiem, powiedziała mu, że nazywa się Marja. Poza tem, mógł się przekonać, że jego nowa znajoma była bardzo gadatliwa, dobra, trochę niedorajda i przesadnie szczera.

— Ciepła kluska — pomyślał, ale z największem zainteresowaniem wysłuchał wiadomości, że jej pan jest jubilerem.

— Nie jakimś tam jubilerem, siedzącym w sklepie — podkreśliła. — Mój pan ma pracownię oraz magazyn u siebie w domu, razem z mieszkaniem prywatnem.

Jakkolwiek Milo nie orjentował się zbyt dokładnie w tych sprawach, rozumiał jednak, że mowa jest zapewne o jednym z tych specjalistów, którzy pracując bądź na własny, bądź na cudzy rachunek, oprawiają drogie kamienie i handlują tym „bogatym“ towarem.

— Musi mieć grubszą forsę, ten pani stary? — rzekł, udając, że nie przykłada do tej uwagi żadnego znaczenia.

— No, ja myślę! — odpowiedziała „ciepła kluska“ — nieraz widziałam u niego grube miljony!

Spotkanie to, jak i poprzednie zakończyło się dla Emila zbyt wcześnie. Około 11 i pół Marja zaczęła się niepokoić.

— Muszę wracać, moi państwo mnie oczekują.

— Niechże pani jeszcze trochę posiedzi — prosił Milo. Ma pani czas, przecież pani nie zjedzą!

— A jeśli stracę miejsce?

— Wielkie co! Znajdzie pani inne. Tego chyba nie brak?!

— Nie, muszę wracać, muszę wracać — powtarzała uparcie bez przerwy.

— Pozwoli pani przynajmniej, że ją odprowadzę do domu?

Mieszkala niedaleko. Poszli pieszo, nie śpiesząc się. Od czasu do czasu, przechodząc przez ciemne i opustoszałe ulice, Emil, jak przystało na człowieka, znającego życie, obejmował swą towarzyszkę wpół i całował ją. Marja słabo mu się opierała.

— Tu się rozstaniemy! Mieszkam o parę kroków stąd. Tak będzie rozsądniej.

Pozwoliła się jeszcze dwa razy pocałować, poczem rozstali się. Ukryty w cieniu, Emil widział, jak zatrzymała się przed jakimś starym domem i usłyszał trzask zamykanych drzwi. Wówczas zbliżył się do bramy, gdzie znikła Marja, obejrzał uważnie fasadę domu, w którym spoczywały łatwe do zdobycia skarby i przeczytał na marmurowej tabliczce: „Józef David, jubiler, 3-e piętro.“

Po trzech dniach Marja zjawiła się znów w „Zielonym Baloniku“.

— Zobaczymy się dopiero w przyszłym tygodniu — rzekła do Emila.

— A to dlaczego?

— Korzystając z trzech dni świąt, moi państwo wyjeżdżają na wieś i zabierają mnie ze sobą.

— Wszyscy wyjeżdżają na trawkę? Spodziewam się jednak, że ktoś zostanie, aby pilnować domu?

— Pilnować domu, po co? — zapytała młoda kobieta ze zdziwieniem.

— A to dobre! Trzeba być ostrożnym! Czy pani chlebodawca nie obawia się, że go okradną?

— Nie!

Zaczęła się śmiać i rzekła:

— Toby nie było zresztą takie trudne. W domu są tylko biura i sklepy. W święto wszystko jest nieczynne, a wówczas dozorca i jego żona, którzy lubią sobie podpić, korzystają z tego i idą do sąsiedniej knajpy na kieliszek. Przez ten czas każdy może wejść do domu, nie będąc przez nikogo zauważony.

— Ten pani stary wydaje mi się bardzo nieostrożny — oświadczył Milo z powagą.

„Ciepła kluska“ połknęła przynętę z zapałem:

— O, co do tego, to ma pan zupełną rację! Pan David nie należy do ludzi nieufnych. Powiem panu coś, w coby pan nigdy nie uwierzył! W magazynie stoi kasa pancerna. Chowa się do niej zwykle wszystkie przedmioty wartościowe, złoto, djamenty, perły. Otóż, ta kasa nigdy nie jest zamykana. Zamek zepsuł się już bardzo dawno temu, a pan nie może się zdecydować, aby go naprawić, i zamyka kasę, jakby to był kredens lub nocny stolik. Co pan na to?!

Zaśmiała się znowu, uważając widocznie, że cała historja jest szalenie zabawna, podczas gdy Emil patrzał na nią ze zdziwieniem, a jednocześnie z uwielbieniem. Nigdy dotychczas nie miał okazji podziwiania czegoś tak bezgranicznie głupiego, jak ta pokojówka z dobrego mieszczańskiego domu. Po raz pierwszy w życiu współczuł szczerze tym, którzy trzymają u siebie służbę domową.

Do tej pory Milo nie powziął jeszcze żadnego konkretnego planu w sprawie obrabowania jubilera Davida. Tego rodzaju zajęcia nie próbował jeszcze. Rozważał więc całą sprawę jedynie teoretycznie. Początkowo zamierzał sprzedać posiadaną wiadomość jakiemuś koledze, bądź za gotówkę, bądź też za udział w ewentualnych zyskach, osiągniętych z kradzieży, ale po otrzymaniu tak rewelacyjnych wiadomości, zmienił plan.

Tegoż wieczora Marja zmuszona była opuścić go na chwilę, aby się udać do tualety.

— Niech pani zostawi torebkę — jeszcze ją pani ukradną.

— Naprawdę? — przelękła się Marja.

— O, to się często zdarza. Popchną panią na schodach i wyrwą przedmiot, który pani trzyma w ręku.

— Jak to dobrze, że mnie pan o tem uprzedził, bardzo jestem panu wdzięczna — rzekła Marja.

Gdy tylko odeszła, Emil szybko otworzył torebkę, chwycił klucze, które się w niej znajdowały i odcisnął je na kawałku zwilżonego śliną papieru.

*

Drugi dzień świąt Emil rozpoczął od obserwowania domu, gdzie mieszkał jubiler.

Wbrew stosowanym w podobnych wypadkach metodom, postanowił działać w biały dzień, sam jeden. Zupełnie wyjątkowe okoliczności przedsięwzięcia pozwalały na tę zmianę. Poco czekać nadejścia nocy, gdy można pracować bez obawy przy świetle naturalnem? Poco łączyć się z jakimś wspólnikiem, który może okazać się zdrajcą i z którym trzeba byłoby dzielić się łupem.

Długo badał dom i jego okolicę, sprawiającą wrażenie wymarłej. Wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy wyjechali na wieś, w góry lub nad morze. Ulica sprawiała wrażenie rozżarzonej pustyni.

Przechodząc koło mieszkania dozorcy, Emil roześmiał się cicho; na drzwiach wywieszono kartkę z napisem: „dozorca niedługo wróci“,— co było oczywistem kłamstwem, gdyż conajmniej od godziny siedział z żoną w knajpie na rogu i nic nie wskazywało na to, że niebawem powróci na opuszczone stanowisko.

Na trzeciem piętrze metalowa tabliczka na drzwiach oznajmiła mu, że jest u celu. Na drugiej tabliczce przeczytał: „Proszę wejść bez pukania“. Tem niemniej zapukał, a potem zadzwonił. Nikt nie odpowiedział, wobec tego otworzył drzwi przy pomocy nowiutenkich kluczy, dostarczonych mu tego dnia przez ślusarza.

Rozkład pokojów zgadzał się dokładnie z planem, który Emil miał w głowie dzięki opowiadaniom Marji. Poczuł się odrazu, jak u siebie w domu. W pracowni i magazynie nie znalazł nic — szuflady były puste. To niepowodzenie nie zdziwiło go zresztą — czyż nie było rzeczą naturalną, że wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zostało skrzętnie schowane?!

Napewno wszystko będzie w kasie pancernej — pomyślał. Kasa stała w małem biurze, siedzibie szefa firmy. Milo nie zapomniał o niezwykłych rewelacjach Marji, dotyczących kasy, której zamek nie funkcjonował oddawna. Podobne niedbalstwo wydało mu się nagle nieprawdopodobieństwem! Ogarnął go niepokój na myśl, że może Marja wymyśliła ten szczegół, aby upiększyć swe opowiadanie.

Obawy te jednak okazały się płonne: kasa była zaledwie przymknięta i otworzyła się natychmiast. Emil poczuł radosne bicie serca, które zamieniło się wkrótce w grube rozczarowanie:

K a s a b y ł a p u s t a!! Ani śladu złota, djamentów, pereł i biżuterji!..

Napróżno Milo przeszukał wszystkie meble w całem mieszkaniu! Nie miał już żadnych wątpliwości: ogarnięty jakimś niepojętym atakiem ostrożności, jubiler przed wyjazdem na wieś opróżnił całe mieszkanie ze wszystkich wartościowych przedmiotów. Zawartość bieliźniarek i kredensu znęciłaby pospolitego włamywacza, Emil jednak pogardził takim łupem. Nie po to przyszedł tutaj! Wolał wyjść, nie wziąwszy nic. Ale wściekły za zawód, jaki go spotkał, pozostawił po sobie wielki nieład, zapomniał zatrzeć ślady swej bytności i wyszedł, zostawiając naoścież otwarte drzwi. Na dole przeczytał raz jeszcze napis „dozorca niedługo wróci“. Na zalanej słońcem ulicy nie było żywego ducha. Oddalił się wolnym krokiem, pewien, że nikt go nie widział.

W poniedziałek Emil ze zdumieniem przeczytał w jakiejś gazecie następującą wiadomość:

OKRADZENIE JUBILERA.

Pan Józef David, jubiler, ul. X. po powrocie z krótkiego wypoczynku na wsi, stwierdził, że jego mieszkanie zostało odwiedzone przez włamywaczy, którzy po otworzeniu kasy pancernej uciekli, zabierając biżuterję, schowaną tam przez jubilera przed wyjazdem. Według zeznania, złożonego przez p. Davida, straty wynoszą około miljona franków.

Co to ma znaczyć? — krzyknął Milo, drętwiejąc. Dalszy ciąg wiadomości na stronie 5-ej nie wyjaśniłby mu zbyt wiele, gdyby nie lakoniczne zakończenie artykułu: „Należy dodać, że p. David przezornie ubezpieczył swą biżuterję od kradzieży“.

Ach, tak! — pomyślał Emil, zaczynając domyślać się niektórych rzeczy.

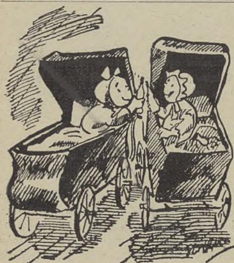
Cała prawda ukazała mu się dopiero w chwili, gdy rzucił okiem na ostatnią stronę dziennika, z fotografjami.

Zobaczył liczne zdjęcia, dotyczące „wielkiej kradzieży przy ul. X.“: widok domu z zewnątrz, kasa pancerna otwarta i zamknięta, wreszcie dwie fotografje, z których jedna przedstawiała p. David — „okradzionego jubilera“, druga zaś panią David.

Milo nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia, fotografja bowiem była podobizną jego znajomej Marji, która się okazała panią David. Mała pokojówka, spotkana w „Zielonym Baloniku“, która mu dała niebywałe wskazówki, potrzebne do wykonania włamania, okazała się chytrą bestją, a nie „ciepłą kluską“! Dzięki jej świetnie pomyślanej komedji, uratowała męża od upadłości, powierzając wykonanie tej trudnej roboty, potrzebnej do otrzymania znacznej premji asekuracyjnej, głupiemu Emilowi!...

Początkowo ogarnęła go wściekłość. Knuł już plany zemsty. Miał nawet zamiar zadenuncjować jubilera i jego żonę, wysyłając anonim pod odpowiednim adresem. Ostatecznie jednak roześmiał się głośno i z zadowoleniem, pełen podziwu dla „dobrej roboty“.

„Gringoire“, Paryż.



Nasze kawalerskie!
„New York American“, Nowy Jork.



Lekarz ostatecznie miał słuszność, kiedy mówił mi, że jestem zbyt nerwowy na prowadzenie auta. „Life“, Nowy Jork.

UREGULOWANA MIŁOŚĆ

W naszym świecie, uporządkowanym, zaopatrzonym w kodeksy prawa, pewne zakazane dzielnice pobrzeży śródziemnomorskich są podobno jeszcze temi rzadkiemi miejscami, z których powraca się z pełnią wstrząsających, najbardziej różnorodnych i gwałtownych wrażeń. Ja, niestety, opuściłem zakazaną dzielnicę Aleppa, stolicy północnej Syrji bez tych wrażeń. Chciałem zobaczyć wschodni lupanar — pokazano mi klinikę! Nie wyrywają tu wprawdzie zębów, nie operują wyrostka robaczkowego, niemniej fakt pozostaje faktem. Czuć tu raczej woń antyseptyku niż wino, opjum, czy tytoń. Był to oddział chorych na gorączkę, których się leczy łyżeczką lekarstwa, którzy wychodzą stąd tak, jak weszli; pokorni, milczący i w pośpiechu. Rozpusta ustąpiła miejsca profilaksji, alkohol — nadmanganianowi potasu. Jedynym dozwolonym trunkiem jest likier Van Swieten, i to wyłącznie w małych ilościach.



Przed wejściem do domu miłości

Dawniejsze królestwo rozpusty przechodzi metamorfozę pod kuratelą dwu nieubłaganych Erynij, z których jednej na imię Policja, drugiej Medycyna. Pierwsza kontroluje mężczyzn przy wejściu, rozbraja ich, śledzi krok za krokiem; druga zrobiła z prostytutek sanitarjuszki, zaopatrzone w lekarstwa, flakony i instrumenty, których widok jest wystarczający, by zmrozić na zawsze ochotę „kupnej miłości" i najbardziej wulkaniczne temperamenty.

Niema w tem najmniejszej przesady. „Zakazana" dzielnica w Aleppo jest dzisiaj ślepą uliczką, dostępną przez jedyne wejście, pilnie strzeżone. Klientów rozbraja się przy wejściu, odbiera się im wszelką broń, podobnie jak u nas starym damom parasole, gdy wchodzą do narodowego muzeum. Rozbrojeni beduini, włóczęgi i żołnierze stają się pokorni, jak owieczki, i ulice zakazanej dzielnicy są zawsze ciche, nawpół wymarłe nawet przy największej frekwencji. Wrzawa i gorączka są poza ich progiem; w dzień piękne ulice wabią oko turysty swoim malowniczym wyglądem; noce w Bab-el-Faradji obfitują w uczty z chleba rodzynkowego, południowych owoców i wybornej kawy. Obok tych rozbawionych, hałaśliwych ulic śródmieścia, uliczki zakazanych dzielnic wyglądają jak pogrążone w cieniu aleje cmentarne. A nad tem wszystkiem świeci jedno niebo, o niepokalanej barwie azalu.

Przedemną przesuwają się najrozmaitsze typy, które można spotkać tylko tu, na krańcach pustyni. Ogorzały beduin, którego czuć jeszcze piaskiem pustyni i tłuszczem baranim, włóczęga cuchnący potem, oszczędzający ciężko zarobiony grosz na „miłosny wydatek", przychodzą tu, wiedzą po co, i nie kryją się z tem bynajmniej, podczas gdy wzbogaceni kupcy, urzędnicy syryjscy i francuscy i zawiedzeni turyści zadawalają się samym tylko widokiem tego naukowego, godnego szacunku urządzenia. Żołnierze kpią sobie ze wszystkiego, ale ta atmosfera szpitalna jest dla nich nie do zniesienia, i psuje im całą przyjemność.

Wejście do dzielnicy „miłości" odbywa się zawsze z przepisowym na wschodzie hałasem. Wszystkie tradycje wymagają, by amator zjawił się tu jak Filip d'Aulnay u Orsini, z bagnetem w ręku, z przekleństwem na ustach i pragnieniem w gardle.

— Hola, szynkarko djabelska!

Gdy jest dobrze wychowany, udaje obojętnego i ucieka się do romantycznej fanfaronady.

— Hej! kochanki bogaczy! ty stara Maxo, daj coś do wyboru!...

Naprawdę jednak beduini stepowi i syryjczycy czują się bardzo nieswojo pod kontrolą policji i medycyny. Wierny sługa Koranu, jest w tych sprawach jeszcze zacofany. Chce mieć w lupanarze te same prawa, co u siebie w haremie. Kobieta — z wyjątkiem matki — jest zwierzęciem, stworzonem poto, by z jej wolą czy bez, służyła wojownikowi za rozrywkę. Jednem skinieniem robi wybór, i nie uznaje sprzeciwu, ani szemrania. Triumfalne wejście, brutalny gest drapieżnika, który wdarł się do gołębnika, oto pierwsza scena, smutnej tragedji w królestwie rozpusty.

Ale nie macie się czego oburzać, gdyż robi to wszystko tylko dla oka i skoro nikt na niego nie patrzy, uspokaja się odrazu. Przekonałem się o tem na podstawie dokładnych obserwacyj, w licznych lokalach Wenery na Wschodzie. Skoro tylko zrzuci z siebie ubranie i zbroję przekształca się w przeciętnego, łagodnego młodzieńca, szukającego rozrywki.

W krajach cywilizowanych drobnomieszczanin wyobraża sobie chętnie, że piosenka uwodziciela wygląda mniej więcej w ten sposób:

— Biedne dziecko, skąd ty tutaj? Jeżeli już przyjmujesz mężczyzn, to przyjmuj takich, którzy są gotowi płakać razem z tobą, i jeśli chcesz, to możemy ronić łzy razem nad twoim losem. Ona: — Co cię to obchodzi? Śpiesz się, widzisz, że klienci czekają...

Ale na krańcach pustyni, wśród nieokrzesanych cór Wschodu, gdzie zjawiają się tylko żołnierze okupacyjni, i ci, którzy z nimi walczą, rzecz wygląda inaczej. Wszyscy klienci są wojownikami. A wojownik, jeśli chce być uwodzicielem, używa tylko swego prestiżu, arogancji i brutalnej siły. Nie chcę przez to powiedzieć, że bawi się w miłość tak, jak w wojnę! Sama „miłość" odbywa się w taki sposób, że lepiej o tem nie mówić. Wystarczy dodać, że o n e dają się brać jak umarłe. Czekają tylko, czy prędko się to skończy, i nie zdradzają nawet oznak zniecierpliwienia. Jeżeli klient przeciąga zbyt długo swoją wizytę, nagana przychodzi zzewnątrz. Patronka „zakładu" ma zapewne ukryty taksometr wśród błyszczących złotem napoleonów i woła natychmiast:

— Co się tam dzieje? Jak długo to będzie trwało?

Pada odpowiedź: właśnie kończę... jakby nikogo więcej nie było. Klient nie wchodzi więcej w rachubę, skoro zapłacił...

Trudno o widok bardziej ponury, bardziej poziomy, i politowania godny. Można zwiedzić dwadzieścia domów rozpusty i nie znaleźć ani jednej zdrowej, młodej dziewczyny. Twarze bezbarwne, napiętnowane ospą, niezdarnie pomalowane, stale uśmiechnięte, tym zawodowym uśmiechem kokot, upiększane pretensjonalnem odsłanianiem koron nadpsutych zębów. Nie, to straszne!

Jedna tylko z tych nieszczęśliwych pozyskała naszą sympatję. Było to w pewnym domu rozpusty, gdzie sprawowała rządy surowa matrona, o wyglądzie Messaliny, cała poobwieszana biżuterją i drogiemi kamieniami. Ujrzeliśmy tu wspaniałą, delikatną i zgrabną sylwetkę młodej dziewczyny, odzianej w czarny, jedwabny kaftan. Utkwiła w nas dumny wzrok swoich ogromnych, piwnych oczu. Podbródek i wargi miała wytatuowane w misterne niebieskie malowidła.

— Beduinka? — pytam.

— Tak i nie — odpowiada patronka.

— Więc tak, czy nie, — powtarzam pytanie.

— Niech pan lepiej jej samej spyta.

— Powiedz nam jak się nazywasz?

— Marcela.

— Nie...

— Ależ tak! — Śmiała się przytem zagadkowo.

— Czy wytłumaczysz nam wreszcie, dlaczego z wyglądu jesteś beduinką, z imienia chrześcijanką, i wogóle w jaki sposób jesteś beduinką, nie będąc nią wcale?

Wówczas opowiedziała nam w kilku słowach swoją historję: urodziła się w Damaszku, w dzielnicy Bab-Tuoma, z rodziców armeńskich. Jako dziecko była porwana przez beduinów. Z wychowania więc — że się tak wyrażę, — jest beduinką i to oni ją wytatuowali. Przy pierwszej okazji uciekła od nich, i odszukała rodziców.

— Co zatem robisz tutaj?

— Nie chcieli mnie przyjąć spowrotem... wypędzili mnie... stracili po raz drugi... no i jestem tutaj...

Oto krótka historja pięknej Marceli z Aleppo, która potrafi jeszcze śmiać się. Dziewczyna taka, jak ona, w czasach, kiedy policja i medycyna nie mieszały się do cudzych interesów, byłaby napewno powodem krwawych bójek i dramatów. Dziś niema więcej dramatów. Wszystko jest uporządkowane, ułożone, zgóry przewidziane. Wprost nie do uwierzenia! Zwłaszcza dla tych, którzy pamiętają, co się działo nieledwie dziesięć lat temu, i co się jeszcze dziś dzieje każdego wieczora, który Allah zsyła w swej łasce Islamowi, w stu innych miastach.

Namiętność mężczyzny, kiedy daje jej upust, bywa szalona. Zmusza kobietę do śpiewu i tańca. W Aleppo jednak niema więcej ochoty do śpiewu, ni tańca. Afisze zawieszone nad każdem łóżkiem, nie polecają wprawdzie milczenia, nie ograniczają swobody ruchów. Zawierają zato inne rozporządzenia wypisane po francusku i arabsku:

Przed... kobieta powinna... mężczyzna...

Po... kobieta zażyje... mężczyzna zastosuje...

Szafka z lekarstwami stoi zawsze otworem. Wzrok araba błądzi stale po afiszach, przechodzi następnie na ustawione rzędem flakony z lekarstwami. Mężczyzna czyta: Trucizna, wyłącznie dla użytku zewnętrznego i odwraca się ze wstrętem, i traci ochotę do tańca, do śpiewu, nawet do samej miłości.

Gdzie są wspaniali wojownicy, gdzie są szalone uczty bogatych obszarników, piosenki pijaków? Gdzie są legjoniści, biegnący na każde zawołanie towarzysza, który wdał się w awanturę miłosną w którejś z ciemnych uliczek, przy czerwonej latarni lupanaru?

Gdzie są spahisi? Przedewszystkiem, gdzie podziały się wyzywające postacie młodych dziewcząt, wystających godzinami na progach domów rozpusty, aby zachęcić klienta do wstąpienia?

Nie słychać już w zakazanych dzielnicach szczęku oręża, nie błyszczą noże w rękach pijaków, — wszystko ucichło.

Choć miłość kupna jest niska i brudna, urok jej przyciąga dziś jeszcze wielu, i dziś jeszcze każdego wieczora biją się w ciasnych zaułkach miast od Algeru do Barcelony, przez Grecję, Turcję i Egipt. Dla Aleppo jest to tylko wspomnieniem przeszłości. W kraju wschodzącego słońca, pod mandatem francuskim, skończyło się wszystko. Skończyło na zawsze! Szukając miłosnej rozrywki, nie ryzykuje się więcej życia, nie jest się narażonym na cios bagnetu pijanego legjonisty, czy araba, szalejącego w rozpuście bez pamięci.



Kapłanka miłości

W klinikach rozpusty, nie ryzykuje się nawet zdrowia, nie ryzykuje się nic, i właśnie może dlatego straciły one swój urok nietylko dla buntującego się przeciw ograniczeniom araba, ale i dla europejczyka, dziś jeszcze wspominającego czar egzotycznej miłości, która nęciła go tak długo, dopóki rząd nie położył na niej swojej twardej „opiekuńczej" ręki.

„Voila", Paryż.

Propaganda przyrostu we Włoszech

Gdy w rodzinie włoskich emigrantów kobieta w ciąży czuje, że zbliża się rozwiązanie, udaje się do ambasady włoskiej. Otrzymuje wówczas bilet I-ej klasy do wskazanej przez nią miejscowości we Włoszech. Na granicy „czarne koszule", uprzedzone o jej przybyciu, informują się o stanie zdrowia przyszłej matki, otaczają ją troskliwą opieką i jeżeli bóle są zbyt silne, kierują chorą do najbliższej kliniki.

Oczywiście Il Duce jest zawiadomiony o urodzeniu się dziecka. Jeśli to jest dziewczynka, Mussolini ogranicza się do przesłania pozdrowienia. Jeżeli jednak urodził się chłopak, do listu załączony jest banknot 500-lirowy.

„Aux Ecoutes", Paryż.

Proroczy sen

Pablo Gonzalès z Aranjuezu (Hiszpanja) wierzy w sny. W czerwcu roku bież. śni mu się, że tonie. Okropny koszmar wywiera na niego tak silne wrażenie, że wyrzeka się kąpieli morskich, do których był przyzwyczajony od przeszło 20-u lat.

Trzy dni temu Pablo obchodził w towarzystwie wesołej kompanji swoje 42-ie urodziny. Około godziny drugiej w nocy opuszcza swych przyjaciół, mówiąc, że wróci do domu pieszo, celem ochłonięcia od nadmiaru wypitych trunków. Bardziej pijany jednak, niż przypuszczał, błąka się po ulicach miasta i zasypia wkońcu na jednej z ławek nad rzeką. Jakiś rzezimieszek obrabowuje go, poczem spycha do rzeki. Zwłoki jego wyłowiono nazajutrz.

„Vendémiaire", Paryż.

Nowe filmy „Metro Goldwyn Mayer”

„Eskimo”

Emil Ludwig zachwycony

Tak rdzennie prawdziwego filmu nie widziałem dotychczas nigdy. „ESKIMO“ zrobił na mnie największe wrażenie, od czasu jak wogóle chodzę do kina. Okazuje się, że film wybitnie zwiększa swoje wartości, gdy z ekranu przemawia nie człowiek, lecz natura. Słysząc ryk setek fok, uderzenia kopyt tysięcy reniferów, odczuwając całą potęgę najdzikszej przyrody, człowiek doświadcza tego, co mógłby jedynie przeżyć, odbywając sam daleką podróż do krajów polarnych. Gdyby nawet wspaniały ten film zawierał tylko te jedynie sceny, to już należałoby go uważać za dokument wielkiej wartości.

Ale jakąż wielką rozmaitość innych rzeczy można w nim jeszcze zobaczyć i przeżyć! Walka z wielorybami, polowanie na renifery, walka miłości z nienawiścią, zmaganie się dwu moralności: moralności prostej i prymitywnej Eskimosów i wyrafinowanej i perfidnej białych ludzi, — i wreszcie najtragiczniejszą walkę człowieka z przyrodą.

Akcja tego filmu, mocna, ciekawa, a przedewszystkiem tak bardzo prawdziwa, — aktorzy, jeżeli można tak nazwać tych cudownych, prawie pierwotnych mężczyzn i te przepiękne egzotycznym urokiem kobiety, a wreszcie mistrzowska reżyserja niezrównanego Van Dyke'a, złożyły się razem na stworzenie arcydzieła, które musi wywołać uwielbienie dla jego twórców.

Emil Ludwig,
„Das Tagebuch“, Paryż.

„Detektyw”

Scenarjusz, reżyserja i gra artystów — na najwyższym poziomie.

Jest to świetna i dowcipna intryga. Historja morderstwa przeprowadzona z wdziękiem i smakiem. Film ten jest osnuty na tle powieści Alberta Hacketta i Frances Goodrich, która zdobyła sobie olbrzymią wprost poczytność.

Nie będziemy analizowali szczegółowo dowcipnej intrygi, wystarczy powiedzieć, że w tem zbiorowisku najróżniejszych charakterów, mordercą okazuje się wkońcu ten, po którym się tego najmniej spodziewano. Zamiast zajmować się drobnostkami, krzyczmy urbi et orbi, że powstało arcydzieło filmowe, arcydzieło przez wielkie „A“. Albert Hackett i Frances Goodrich napisali scenarjusz tryskający humorem. Djalogi są tak jędrne i dosadne, że sporo czasu jeszcze minie zanim zostaną prześcignięte.

Eleganckim detektywem jest tym razem Wiliam Powel, jest on stale podchmielony, tak, że wprost nie ma sposobności zająć się pracą zawodową. Daje on w tej roli kreację przewyższającą dotychczasowe jego wyczyny.

Jego partnerka Myrna Loy daje niezrównaną kreację komedjową, który to genre, zdaje się być dla niej najodpowiedniejszy.

Co się tyczy reżysera Van Dyke'a, to widać że on nietylko utrzymuje się stale na poziomie, lecz pracuje wciąż i doskonali swoją sztukę. Jego komedja jest świetnie sharmonizowana w czasie i wzbudza naturalny zdrowy śmiech. Jest on mistrzem w swojej dziedzinie. Ręka w rękę z reżyserem pracuje operator, który również wspaniałe efekty osiąga szczególnie w dziedzinie portretu.

„New York American“, Nowy Jork.



Miłosna para eskimosów



Marion Davies i Gary Cooper w „Konfidentce“



Myrna Loy i William Powell w „Nowym Detektywie“

„Perkaliki i gronostaje“

Sztuką na miarę talentu Joan Crawford jest film „Perkaliki i gronostaje“.

Jest to nowa i nowoczesna wersja odwiecznego tematu „Kopciuszka“, w pełnej przepychu realizacji, przeplatanej motywami melodramtycznemi i komedjowemi. Trzebaby długo szukać, by znaleźć świetniejszą obsadę ról w filmie, a reżyserja Clarence Brown'a jest zachwycająca. Jego maestrja objawia się szczególnie w traktowaniu lżejszych momentów filmu. Szkoda tylko, że jest tych subtelnych szczegółów tak mało.

Zasługą Joan Crawford jest, że wirtuozowska gra jej partnera Edwarda Arnolda, którego rola stanowi centrum filmu, nie przyćmiła ani na chwilę jej gry. On jest pijanym kapryśnym miljonerem, który w chwili sentymentalnego nastroju poślubia biedną Joan Crawford, by ją potem głęboko pokochać i stracić. Jego gra, kiedy jest pijany, jest klasyczna. Łączy on wysokie walory artysty dramatycznego z najsubtelniejszym komizmem. Reszta obsady jest pierwszorzędna.

Scenarjusz Johna Meehan'a jest nader staranny, djalogi pełne wdzięku i dowcipu, co obok gry artystów, reżyserji i obsady stawia ten film w rzędzie najwyższych osiągnięć sezonu i sztuki filmowej wogóle.

„New York Herald Tribune“, Nowy Jork.



Wallace Beery i Jack Cooper w „Wyspie Skarbów“



Joan Crawford i Franchot Tone w „Perkalikach i Gronostajach“

Twarz pod kolor kostjumu

Najwidoczniej bale maskowe wpłynęły na tegoroczną modę sportową! Materjały stały się fantastycznie malownicze, ale mniej praktyczne w noszeniu.

Panie o konserwatywnym guście będą miały kłopot z wyborem kolorów — często bardzo pięknych, ale w zastanawiających zestawieniach barw. Pojawiły się dziwne odcienie czerwonego, zwanego „Kameleon“ i nowy odcień niebieskiego — „Stratosfera“ nierzadko w połączeniu z innemi, równie jaskrawemi barwami.

Najważniejszą rzeczą jest wczucie się w ducha nowych modeli i dostosowanie własnej twarzy do koloru stroju przez odpowiednią modyfikację maquillage'u.

Na płaszczach i kostjumach sportowych pojawiają się nowe rodzaje pomysłowych clipsów i guzików.

Nowe materjały są przetykane nitkami złotego szychu, cellofanu lub metalu. Często kostjumy robione są z dwóch rodzajów materjałów. Mimo, że brzmi to nieprawdopodobnie, widziałam aksamit w połączeniu z tweedem.

Dla zrównoważenia całego tego przepychu w kolorach i w akcesorjach, strój sportowy na zimę jest wyjątkowo prosty w kroju; wykończenie szyi, sposób wszycia rękawów i materjał — oto co odróżnia jeden model od drugiego!

„Die Dame“, Berlin.

„L O T T O"

Loterja państwowa we Włoszech i jak powstał wyraz loterja

Starożytni rzymianie czcili boginię Fortunę i wznosili jej posągi i świątynie. Dzisiejsi włosi czczą Fortunę niemniej, niż ich przodkowie; lecz czynią to w sposób bardziej praktyczny, mianowicie grając na Lotto, czyli na lot państwowej, do czego sam rząd ich zachęca, mimo, że formalnie wszelkie gry hazardowe są surowo zakazane.

Co to jest Lotto?

Początków jego należy szukać w spekulacji, organizowanej około roku 1550 przez pewnego kupca w Genui, który podobno był nawet patrycjuszem liguryjskiej stolicy. Nazywał się Gentile. W Genui odbywały się co sześć miesięcy wybory na 134 gubernatorów prowincyj liguryjskiej rzeczypospolitej. Gentile przyjmował zakłady o wyniki wyborów: imiona wyciągano z urny kryształowej, a pierwszych osiem wygrywało.

Tak powstał wyraz „dell'otto" (gra ośmiu, otto znaczy po włosku osiem). Z tego „dell'otto" powstało nasze słowo loterja.

W r. 1665 potworzyły się podobne banki di Lotto w Wenecji, Neapolu, Florencji i Medjolanie.

Mimo licznych ekskomunik wielu papieży, mieszkańcy Rzymu ciągle grali tak namiętnie, i tak wielkie sumy wychodziły z państwa kościelnego, że w r. 1732 papież Klemens XII zdecydował się otworzyć w Rzymie własny Banco di Lotto. Powierzono to przedsiębiorcemu kupcowi, który musiał co tydzień wpłacać pokaźną sumę do skarbca państwa, a pozatem przeznaczać co sobotę pięćdziesiąt dukatów na wyposażenie pięćdziesięciu biednych dziewcząt.

Pierwsza „estrazione" (ciągnienie) odbyło się na Kapitolu.

LOTERYJKA

Dziś loterja jest jednym z najpoważniejszych i najpewniejszych źródeł dochodów skarbu włoskiego. Co tydzień odbywa się w ośmiu miastach, a mianowicie: w Bari, Neapolu, Florencji, Medjolanie, Palermo, Rzymie, Turynie i Wenecji ciągnienie 90 liczb od 1 do 90. Pierwsze pięć liczb, które wychodzą z urny, wygrywają. Istnieją jednak liczne kombinacje: „Estratto" to znaczy jedna tylko liczba, daje wygrywającemu 41 liry i 20 centesimów za każdą lirę; „ambo" — dwie liczby dają 250 lirów; „Terno" — trzy liczby dają 4250; zaś „kwaderno" — cztery liczby dają 60.000 lirów za każdą lirę.

Najpopularniejszym doradcą graczy w Lotto jest „Il libro dei sogni", poprostu sennik, w którym, jak w słowniku, każdemu przedmiotowi lub czynności odpowiada jakaś cyfra. Naprzykład papież oznacza 58, Francja 56, lotnisko 1, pałac miłością 8, zwierzę 22. I tu należy rozróżnić, czy zwierzę jest wściekłe, czy pożera, czy śpi, czy jest na uwięzi, czy jest chore, czy zdechło, albowiem każdemu z tych wypadków odpowiada inna liczba. Istnieją dalej liczby dla najrozmaitszych pojęć, n. p. antymilitarysta ma odpowiednik w liczbie 15, ludożerca natomiast w 81.

Za pontyfikatu Grzegorza XVI żył w Rzymie pewien mnich, kapucyn, który omal nie rozbił banku Państwa Kościelnego, tak dalece odgadywał amba, terna, a nawet kwaderna. Papież wreszcie postanowił pozbyć się go; skazał go na wygnanie do nieznanego klasztoru w Ascoli Piceno. Tłum złożony z wielu setek osób odprowadził mnicha, któremu zawdzięczał niejedną wygraną, aż do Porta del Popolo, gdzie mnich, wszedłszy na stopnie kościoła Santa Maria del Popolo, zaimprowizował następujący czterowiersz:

Roma se santa sei (sessantasei — 66)
Perche crudel sei tanta (settanta — 70)
Se dici che sei santa (sedici — 16; sesanta — 60)
Certo bugiarda sei (sei — 6)

(Roma, jeżeli jesteś święta, dlaczego jesteś tak okrutna? Jeżeli mówisz, żeś jest święta, napewno kłamiesz!).

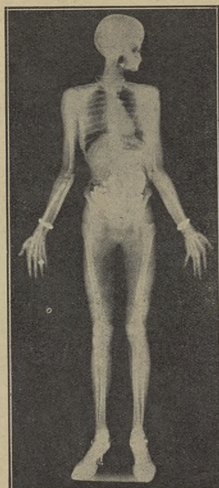
Powyższych sześć liczb wyszło triumfalnie z urny nawet w tym samym porządku, w jakim mnich je przepowiedział i papież musiał zapłacić pięć miljonów dukatów, co równa się dzisiejszym 100 miljonom franków szwajcarskich. Lecz fakt ten stał się taką reklamą dla Lotta, że papież wkrótce zainkasował całą sumę spowrotem.

Według oficjalnych statystyk rząd włoski zainkasował od 1 stycznia do 3 maja 1934 roku 450 miljonów lirów z Lotta, czyli że dochody te wynoszą miljard lirów rocznie.

„Journal du Geneve", *Genewa*.

Szkielet piękności

Na wystawie Chicagoskiego Towarzystwa Rentgenologów, Dr. Hollis Elmer Potter, specjalista promieni X, wystawił w zeszłym tygodniu pierwsze całkowite, naturalnej wielkości, na jednej kliszy zrobione zdjęcie ludzkiego ciała. Dotychczas zdjęcia ciała ludzkiego przy pomocy promieni X były robione częściami. Eksponat w Chicago był rezultatem jednosekundowego prześwietlenia promieniami Rentgena.



Do zdjęcia pozowała pewna piękność z Rochester w Stanie New York, która czasem pozuje do reklam Kodaka. Ma lat dwadzieścia, waży 57 kilo, ma bronzowe oczy, piękne usta, faliste, krótko ostrzyżone ciemne włosy. Nogi, ręce, stopy i dłonie są doskonale proporcjonalne. Pozowała za cienkim parawanem metalowym, który był we środku wycięty, tak aby można było poddać głowę modelki i tors pełnemu działaniu promieni. W ten sposób środek ciała był mocniej naświetlony niż kończyny.

Podczas zdjęcia dziewczyna nosiła białą suknię wełnianą i trochę biżuterji: naszyjnik ze złota i jaspisu, złoty zegarek na rękę, srebrną bransoletkę, dwa pierścionki i kolczyki. Po wywołaniu fotografji okazało się, że dziewczyna miała we włosach metalowe zapinki. Szkielet jej jest bardzo chłopięcy — szerokie ramiona, wąskie biodra, zdrowe płuca i serce.

Eastman Kodak, który nie oznaczył jeszcze ceny na film (32x72 cale) potrzebny dla całkowitego radjografu, twierdzi, że zdjęcia takie będą bardzo pożądane w razie połamania kości i naderwania członków naskutek wypadków. Zdjęcia takie będą również mogły przyczyniać się do wczesnego wykrywania nowotworów i rozmiarów krzywicy kręgosłupa. Badacze anatomji i fizjologji na radjografach będą mogli studjować stosunek kości i organów wewnętrznych do wzrostu człowieka.

„Time", *Nowy York*.

Egzamin z historji

Pewien student, namiętny wielbiciel Hitlera, zdaje na uniwersytecie w Berlinie egzamin z historji. Niema o niczem pojęcia, nie umie odpowiedzieć na żadne pytanie.

Profesor, zniechęcony, pyta go wkończu:

— Niech mi pan powie, kto odkrył Amerykę?

Egzaminowany milczy. Profesor, tracąc cierpliwość krzyczy: „Krzysztof Kolumb"! Wówczas student wstaje i zamierza wyjść z sali.

— Gdzie pan idzie? — pyta profesor.

— Przepraszam, myślałem, że pan profesor wzywał następnego studenta na egzamin.

„Aux Ecoutes", *Paryż*.

Nowi członkowie Ligi Narodów

Liga Narodów powiększa się coraz bardziej. Wstąpienie Sowietów pociągnęło za sobą zaproszenie Afganistanu.

Dla niektórych osób przyjazd do Genewy delegatów rządu w Kabulu jest przedmiotem drwin i sarkazmów. Ci niewcześni krytycy nie znają zapewne dobrze geografji; gdyby rzucili okiem na atlas przekonaliby się, że obecnie cała kontynentalna Azja należy do Ligi, z wyjątkiem wyspiarskiej Japonji i Arabji (nie mówiąc o Mandżuko).

Afganistan jest większy od Francji i zajmuje przestrzeń 650.000 klm. kwadratowych. Niema dokładnej statystyki ilości mieszkańców, ale przypuszcza się naogół, że jest ich 7 miljonów.

Drugim nowym członkiem jest Ekwator.

Wstąpienie Ekwatoru do Ligi kompletuje reprezentację Ameryki Łacińskiej w Genewie. Tylko jeszcze Brazylja jest chwilowo nieobecna.

Ekwator bije swego rodzaju rekord. Stolica jego, Quito, leży na wysokości 3000 metrów. Często nazywa go się małym krajem. Pewnie, że jest 30 razy mniejszy od Brazylji, ale powierzchnia jego (307.000 kl. kw.) prawie dorównywa powierzchni Italji.

„Marianne", *Paryż*.

Redakcja: Warszawa, Króla Alberta I Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.

Administracja: Warszawa, Króla Alberta I Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mies. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. 3 zł., kwart. 9 zł. Ogłoszenia: za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem; 90 groszy w tekście.

Redaktor odpowiedzialny: Michał Sas. Wydawca: **Wydawnictwo „Chronos" sp. z o. o.**

Druk. „Monolit", Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.